

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX Warszawa, dn. 14 grudnia 1952 r. Nr 50 (384)

BOGUSŁAW KOGUT

O DZIECIACH

W najbardziej słonecznym mieście — porcie pięciu mórz
myśl troskliwa czuwa wśród starych ścian Kremla
i nie gaśnie w płomieniach świecących zórz
gwiazda pięcioramienna.

Stąd drogi wiodą do krajów piękniejących co dnia,
stąd światła biegają nocą w odzyskany step —
na bagnach uczy zasiewać życiodajny chleb
myśl ludzka jak pochodnia.

W kuźniach Donbasu i Magnitogorska
dłoń człowieka hartuje żelazne konstrukcje miast.
Gdzie dawniej wietrzna pogoda pisała po polach niosła
dziś miasto sięga gwiazd.

W tym mieście, w młodej alei ogrodnik na prędcie
wpina liście winogron w biel okiennych ram —
studenci instytutu wzięwszy się za ręce
pieśń o wiosnie śpiewają — a tam...

Nie gasną paleniska w wojennych pracowniach;
płyną do tygla morza ludzkiego potu,
jarzy się w kolbach na żółtych językach ognia
preparat co ludzką śmierć ma stopić na płynne złoto.

Dudnią fabryki śmierci — a z ich czełusci czarnych
wychodzą kadłuby bombowców — latające trumny;
mnożą się dzieciobójców żelazne eskadry
by deszczem śmierci w nasze domy runąć.

Dziecko które ma w oczach śmiech
w parku liść żółty do ust podnosi czule,
w szpitalnym kajecie — na poplamionej bibule
kredką rysuje pierwszy wiersz —

dziecko, które będzie w swoim kraju poetą,
dziecko, które będzie na swej ziemi człowiekiem,
dziecko, które pierwszy raz żywą uniosło powiekę
kiedy konało Ghetto —

to dziecko wierzy w opiekę naszych rąk i serc;
nie zna łun innych patrząc w purpurowy zachód,
wieczór sen tuląc do piersi nie wie o strachu,
rękami idąc ulicą nie wie co to śmierć.

Śłuchajcie poeci dobrej woli,
śłuchajcie kowale twórczych rąk,
wy, którzyście słyszeli skowyt nocnych bomb
i wiecie jak śmierć bliskich boli —

śłuchajcie: Chodzą dzieci po ulicach
uśmiechnięte dzieci chodzą parami;
ich dłonie wnoszą domy kruche w piaskownicach
a wiatr liście kasztanów cicho rzuca na nie.

W naszych miastach czerwonych od cegły i słońca
śmiech dzieci spaceruje w parkowych bram,
w naszych wsiach — przed oczyma dzieci mądra książka —
a tam...

Na ulicy Paryża dziewczęta czarnookie
szukają w śmietniku resztek zgnitego banana.
Nim siny neon spojrzy na śmietnik z wysoka,
noc głodne dzieci pod most sekwański zagania.

Na ulicach Paryża — w szpalerach policyjnych galonów
nosiciel wojny przyjmują defiladę;
spod mostów wyszły na bulwar dziewczęta bosa i blade
— „Generale mordero wracaj do domu!”

Na ulicy Paryża chłopiec sprzedający „HUMA”
w bramie się chowa na stuk policyjnych kroków,
a nocą na parkanie jawi się twarz Martina,
żołnierza, który wybrał pokój.

W spółdzielczej wsi nad modrą Wisłą,
w kołchozie nad cichym Donem
młode życie wiosną zakwitło,
spokojem rodzinnych domów.

W gęstej wiosce nad żółtą Jang-Tse,
w gwarnym mieście nad bystrą Weltawą
młodzi ludzie pracują i tańczą,
dzieci beztrudnie się bawią.

Z miast, które wojnę przetrwały
wysiłkiem rąk ścieramy ślady ran,
z trudów i marzeń powstają
dni coraz lepsze — a tam:

W sercach nieludzkich czai się nienawiść,
w zapalnikach pocisków czyha śmierć —
by nasze ręce pracujące zabić,
by zabić pracę i pieśń.

Śłuchajcie poeci ludzkiego przymierza,
śłuchajcie ludzie sprawiedliwych dłoń,
ten, który wolność naszą wskrzesił i obronił
powiedział:

„POKÓJ ZOSTANIE ZACHOWANY
JESLI NARODY ŚWIATA
UJMĄ SPRAWĘ POKOJU W SWOJE RĘCE”.

POKÓJ! NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

25 lutego 1949 została rzucona myśl po-
wołania Wszechświatowej Organizacji
i Wszechświatowych Kongresów Po-
koju. W ciągu niespełna 2 miesięcy
w 72 krajach ponad miliard ludzi zgło-
siło czynny akces do szeregow obron-
ców pokoju. Od tego czasu ruch — najpotęż-
niejszy w historii — ogarnął całą ludzkość
i Kongres dzisiejszy jest Kongresem Narodów
Świata.

Wojna tkwi w celach, dążeniach, w napię-
ciu złości woli znikomej tylko, ale potężnej gar-
stki. Potężnej ilości nagromadzonych w jej
ręku bogactw i środków — owoców cudzej
pracy. Potężnej braku uświadomienia, iner-
cja i ciemnoty, w jakiej wciąż jeszcze pogrą-
żona jest część ludności niektórych krajów.
Przeciwstawienie siłom zła potęgę jeszcze
większą — oto zadanie wolnych i o wolność
walczących narodów.

„Najpierwszym moim pragnieniem — mó-
wił Jerzy Waszyngton — jest uścisnąć wojnę,
ową plagę ludzkości, na zawsze wygnaną
z Ziemi”. Dziś z jego kraju płyną skoncentro-
wane wysiłki zatopienia Ziemi we krwi jej
synów. Ale równocześnie potępienie wojny
stało się idea przewodnią cywilizacji, wyzna-
niem wiary wszystkich prawdziwych jej przed-
stawicieli. Gdy rodził się imperializm, Emil
Zola wołał: „Kaciliśmy wyzwanie moźnym te-
go świata, wszystkim którzy, nie troszcząc się
o ludzkie cierpienie, organizują wojny, aby
móc swoją ocalić. Pomysłmy o wszystkich
dzieciach, które śpią spokojnie w Paryżu, Ber-
linie, Londynie — na całym świecie, a które
są już napiętnowane, przeznaczone by zginąć
na polach bitew. Nie wolno, aby tak było. Po-
trzeba nam demokracji, solidarności, opartej na
prawach pracy, demokracji, która pozwoli na
sprawiedliwy podział bogactw”.

MIMO woli nasuwa się porównanie nie-
bezpieczeństwa olbrzymiego wzrostu zbro-
jeń ze wszystkim, co nauka i technika
mogłyby dać ludzkości, gdyby wykorzystano je
dla sprawy pokoju. Wysiłki równie jednomyślnie
tylko wysiłkom wojennym pozwoliły-
by na budowę Sahary. Za cenę jednego krążow-
nika można zbudować 10 instytutów badaw-
czych dla walki skutecznej z rakiem czy gru-
zlicą. Lecz kapitalizm niesie w sobie wojnę, jak
chmura niesie burzę. Jeden naród nie może
przed nią się uchronić. Ale akcja zbiorowa na-
rodów pozwoli osiągnąć ten cel.

FRYDERYK JOLIOT-CURIE



G. Lewicka, M. Dietow — Koreanka
zbierająca podpisy pod apelem o pokój

AMY do wyboru, albo zamknąć się w jak-
imś ghetcie ze zwolennikami paktów
atlantyckich, dzieląc ich nienawiści i lę-
ki, albo wystąpić otwarcie, w biały dzień, ze
wszystkimi ludźmi wolnymi, którzy oczekują
naszego świadectwa żywych i wolnych. Nie ma
bomb dobrych i złych. Bóg nie stworzył lu-
dzi i ich pracy, piękna ogniska domowego,
płodności matek, niewinności dzieci, aby wy-
dać cudowne dzieło stworzenia na pastwę rasy
Kainów.

KS. JAN BOULIER

WOJNA nie jest trzęsieniem ziemi, ani or-
kanem. Wojna jest dziełem ludzi i lu-
dzie mogą wojnę zapobiec. Nie można
rozpocząć wojny nawet mając tysiące i setki
tysięcy bomb, jeśli się nie zatruło sumienia mi-
lionów ludzi. Do wojny bowiem potrzeba żo-
łnierzy. Jako pisarz znam siłę słowa, mówię to
z dumą i gorąco. Słowo może dopomóc czło-
wiekowi, by stał się bohaterem, pobudzić go do
szlachetnych czynów, rozpalic w jego sercu
miłość. I słowo może człowieka znieprawić,
odurzyć go, stepić jego sumienie, pchnąć do
nieczestnych czynów... Jako obrońcy pokoju
musimy wystąpić stanowczo przeciw najbar-
dziej niebezpiecznej, najbardziej śmiercionośnej
broni — propagowaniu nowej wojny... Wierzę
w rozum, wierzę w uczoność, który wszystkie
swe siły poświęca wybudowaniu ludzi od naj-
groźniejszych chorób. Wierzę w poetę, który
płomieniem swego ducha rozświetla nocę ko-
paczy i murarzy. Wierzę w ziarno w dłoni ora-
cy i w serce matki, która wie co to znaczy
dać życie i bronić życia. Nie dopuścimy do wy-



B. Prorok — Stalin to pokój

buchu wojny. Odrzucimy wyłoty dział od pier-
si człowieka. W tym dążeniu jesteśmy jedno-
myślni — komuniści i katolicy, liberaltowie i
socjaliści, Rosjanie i Amerykanie, Anglicy i
Chińczycy. Jako delegat narodu radzieckiego,
narodu, który doświadczył wszystkich niesze-
część wojny i wojny z całego serca nienawidzi,
ścisłam dłonie tych, których się usiłuje przed-
stawić jako naszych wrogów, ścisłam dłonie
Amerykanów, Anglików, Francuzów — z nie-
zachwianą wiarą, że nie ma siły zdolnej do dło-
nie rozdzielić.

ILIA ERENBURG

ZBRODNIĘ imperialistów nie świadczyć
wcale o ich sile, ale o ich słabości. Na-
ród Chin kocha pokój. Mówi o tym do-
bitnie fakt, że w Chinach 224 milionów osób
podpisało Apel Sztokholmski. Ale właśnie dla-
tego występujemy zdecydowanie przeciw agre-
sji. Naród nasz już ponad sto lat walczy z
cresorami, którzy grozą pokojowi i naruszają
pokój. Historia narodu chińskiego na przestrze-
ni ostatnich stu lat jest historią walki o pokój.

KUO MO-ZO

WEMY, że są dwie Ameryki. Ameryka
Wall Street, która wysłała młodzież swego
kraju na śmierć w interesie bogaczy
i Ameryka matek tych poległych, matek ame-
rykańskich, które pisały do Trumana: oddajcie
nam naszych synów! Istnieje Ameryka podżę-
gaczy wojennych i tej nienawidzimy oraz Ame-
ryka prostych, uczciwych ludzi, którzy wspólnie
z milionami uczciwych, prostych ludzi na cał-
ym świecie wołają: ręce precz od Korei!

PAK DEN AI

NARÓD nasz walczy o kawałek chleba,
którego brak znacznej części naszej lud-
ności, walczy o postępie i oświatę, o nie-
podległość swego kraju. Oddzielić słowo pokój
od słowa niepodległość znaczyłoby pozbawić je
konkretniej treści i głębszego sensu. Przeciw
krajom Wschodu, przeciw tym wolnym zie-
miom, gdzie lśnią gwiazdy szczęścia całej ludz-
kości, gdzie powiewa sztandar przyszłości świata
kieruje się dzisiaj propaganda wojenna. Mi-
liony ludzi mego kraju kochają Związek Rad-
i kraje demokracji ludowej, kochają ich idee
i sposób życia. Są to przeważnie ludzie prości,
masy pracujące miast i wsi. Lecz są to rów-
nież znani działacze świata nauki, którzy pra-
gną, aby kultura służyła narodowi. Są jednak
ludzie, którzy nie lubią Związku Radzieckiego
i krajów demokracji ludowej, nie sympatyzują
z ich ideami i sposobem życia. Ludzie którzy
nie znają braków i nędzy, jakie są udziałem
naszego narodu. Ale i oni — z wyjątkiem
garstki sojuszników imperializmu — nie chcą
chwycić za broń przeciw tym krajom.

JORGE AMADO

DZIEŁEM ostatniej wojny było 40 metrów
kwadratowych ruin na głowie mieszkańca
Drezna, 24 metry na głowę mieszkańca
Lipska. Istnieje bowiem w fizyce politycznej
prawo, które sprawia, że agresja trafia w War-
szawie pod pretekstem, że nie obchodzi go
zniszczone miasta. Lecz żaden amerykański
sprawca wojny nie zdola oddalić wizji losu, ja-
ki gotuje swojej ojczyźnie, niosąc zniszczenia
w kraje innych ludzi. Nie mogliśmy ocalić
miast niemieckich, byliśmy za słabi. Dziś obroń-
cy pokoju stanowią potęgę.

ARNOLD ZWEIG

KĄDZY Niemiec, który naprawdę broni
pokoju, wie, że rząd Korei Północnej bro-
ni w Korei pokoju Niemiec i pokoju Eu-
ropy. Spoglądamy na gołębia pokoju — sym-
bol naszego ruchu — w locie nad Ziemią i
wiemy, że los jego zawdzięczamy sile naszych
pokojujących dążeń, sile ucieleśnionej w Związ-
ku Rad, twierdzący pokój — jak mówi pieśń —
o którą rozbiła się barbarzyństwo

JOHANNES BECHER

U podstaw polityki państw atlantyckich le-
ży zasada, że nigdzie na świecie nie wol-
no dopuścić, by utracili władzę ci, któ-
rzy ją posiadają obecnie. Rządy tych państw
uważają za szkodną i nieuzasadnioną zasadę, że
przeszło połowa ludności świata powinna być

rzządzona przez niecałą dziesiątą część. Ten sy-
stem uznają za niezmienny i normalny stan
świata. Wszelką jego krytykę w koloniach lub
metropoliach piętnują jako wywrotową, wszel-
kie przeciw niemu powstanie — jako agresję.
Niestety, w teorii te wierzą nie tylko ci, któ-
rzy z nich ciągną korzyści. Wierzą w nie rze-
czywiście i szczerze wiele milionów porząd-
nych ludzi w Anglii i Stanach Zjednoczonych.
O nich właśnie musimy pamiętać, gdy toruje-
my drogę wiodącą do pokoju.

JOHN D. BERNAL

MY, Amerykanie, pamiętamy, że to na
barkach białych niedzarzy Europy, na
barkach tych, co z Europy przybyli bu-
dować Amerykę, oraz na barkach milionów
Czarnych zostało wzniesione całe bogactwo A-
meryki. Jesteśmy zdecydowani podzielić je w
sposób sprawiedliwy pomiędzy wszystkie nasze
dzieci. A nie życzymy sobie tych historycznych
głupców, którzy chcą nas wyprawić na wojnę.
Mamy niezłomną wolę walki o pokój. Nie
chcemy wyruszać na wojnę w naszym interesie
i przeciw nikomu. Nie chcemy wyruszać na woj-
nę przeciw Związkowi Radzieckiemu. Chcemy
pokoju przeciw faszyzmowi. Chcemy pokoju i
przyjaźni między wszystkimi narodami.

PAUL ROBESON

NIGDY nie sądziłem, że dożyję dnia, kie-
dy wolność słowa i wolność przekonań
tak będą zdławione w Stanach Zjedno-
czonych, jak dzisiaj. Dziś na tej wolnej ziemi
nikt nie jest pewien możliwości pracy, uniknie-
cia oszczerstwa i gwałtu, a nawet więzienia, o
ile nie powtarza publicznie i bezustannie:
— że nienawidzi Rosji,
— że jest wrogiem socjalizmu i komunizmu,
— że całkowicie popiera wojnę na Korei,
— że gotów jest wydać każdą sumę pienię-
dzy na dalszą wojnę, zawsze i wszędzie,
— że gotów jest walczyć ze Związkiem Ra-
dzieckim, Chinami i każdym innym krajem,
— że chwali użycie bomby atomowej i
wszelkiej innej broni masowej zniszcze-
nia i uważa za zdrajcę każdego kto sądzi
inaczej,
— że nie tylko chwali i uznaje to wszyst-
ko, ale jest gotów szpiegować swych są-
siadów i denuncjować jeśli myślą inaczej.
Już samo wyliczenie tych artykułów wiary,
wykazuje ich absolutną obłąkność. Cóż można
uczynić, by narodowi naszemu przywrócić ro-
zum? Większość ludzi powiada — nie. Należy
siedzieć cicho; uchylić czoła przed burzą; gdy
potrzeba — klamać i przycisnąć się do dzie-
nagonki i kłaść się na Boga, że nigdy, nigdy w
swym życiu nie miało być sympatii dla walki
chłopa rosyjskiego o wolność; że nigdy w
swym życiu nie należało się do organizacji li-
beralnej, ani nie miało się znajomego, który
należał; jeśli zaś tak się zdarzyło — było się
głupcem skończonym, oszukanym i obalającym.

Pragnę postępu; pragnę oświaty; pragnę lec-
nictwa społecznego; pragnę godziwych płac i
zabezpieczenia starości; pragnę zatrudnienia dla
wszystkich i ubezpieczeń dla bezrobotnych i
chorych; pragnę robót publicznych, służby spo-
łecznej i społecznego doskonalenia. Pragnę wol-
ności dla mego ludu. A ponieważ wiem, tak
jak i wy wiecie, że nie możemy mieć tego
wszystkiego szczerą jednocześnie po całym
świecie mord i pożóg dla zapewnienia wiel-
kiej finansjerze olbrzymich zysków — dlatego
właśnie zabieram głos wraz z milionami ludzi
każdego narodu i kontynentu i wołam: PO-
KÓJ! NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

WILLIAM E. B. DUBOIS

O nadejściu tej ery mówił przed blisko stuleciem
wielki poeta wolności i pokoju, Wiktor Hugo: „Niech
wiedzy nadzieje chłop rosyjski i fellah egipski,
proletariusz i paras, niewolnik murzyński i biały.
Ich wierz tworzą jeden jedyny łańcuch. Ogniwo tego
łańcucha wzmacnia się nawzajem. Ale gdy jedno
z nich pęknie, rozpadnie się cały system. Stąd pilnie
solidarność despotów. Lecz powtarzam — wszyscy są
szkani!”
Wojna przyspieszała tylko wykonanie wyroku.
Ale wojna otebrała zniszczenia — nie może być również
drogą do socjalizmu. Przeciwnie — każdy krok w so-
cjalizm jest krokiem przeciw wojnie. Dlatego nasza
praca jest budową pokoju.
O pokój walczą narody socjalistyczne. Pokoju pra-
gną narody kapitalistyczne świata. Agresorska mniej-
szość musi być pokonana. POKÓJ ZWYCIĘŻY WOJNĘ.

EDMUND NIZIURSKI

RODZINA KOZŁÓW - CZYLI - GDZIE WZMÓC CZUJNOŚĆ

„ANKIETA PERSONALNA”

W YDAJE się, że problem Kozłów został w zasadzie rozwiązany. Podstawowe bolączki: niedostatek ziemi i przeludnienie gospodarstwa nie istnieją. Reforma rolna powiększyła stan posiadania Kozłów o 1 ha gruntu (a mieli 3 morgi), jednocześnie ubyły z domu trzy osoby, ziemię zaś i to tylko połowę ha zabrala ze sobą wyłącznie jedna córka Stefania. Na chlebie ojcowiskim pozostało jedynie najmłodsze z dzieci — Bronisława.

O najstarszym synu Kozła panuje na wsi opinia, że „wysoko zaszedł”. Nazywano go tu „inżynierem” i niewiele jest w tym przesady. Stanisław skończył technikum i pracuje jako inspektor w Zjednoczeniu Montażowym Konstruktury Stalowych.

Wiem, że jedna córka Kozła, Marianna, jest przadką w fabryce włókienniczej w Dzierżoniowie. Druga, Stefania, wyszła za mąż za robotnika kolejowego. Nie zanosi się na to, by i najmłodsza Bronka po skończeniu liceum ogólnokształcącego w Rzeszowie, pozostała przy rodzicach.

W domu ojciec dawno już zapomniał o dracie i pociegu. Jego stare ręce nie muszą wypłacać koszyków. Kozłowie piją mleko, jedzą przez cały rok chleb, krasę, kluski i ziemniaki, spożywają mięso, sery i jaja. Podatki zapłacili bez trudu. Wyposażyli córkę. Czują się na siłach zbudować nowe budynki gospodarcze. Prenumerują dwie gazety. Mają radio. Jednym słowem możnaby napisać powiastkę: „Żył ludwie poczciwy Kozioł w Polsce Słobowej”. Można, gdyby...

WRÓG CZUWA

Przy kuchni stoi Kozłowa i gotuje obiad. Jej wysoka, ascetyczna

postać w długiej spódnicy wylania się z kłębow pary jak bizancka święta.

Smakowity zapach nęci podniebienie. Dławię, co to jest? Wędzonka? Słonina z cebulą? Porcelanowe talerze na stole czekają na świąteczny obiad.

W drzwi wpada wysmukła, elegancko ubrana dziewczyna w nowej kwiecistej sukience i zgrabnych pantofelkach. Biorę ją za Bronisławę i pytam o szkołę.

— To nie Bronka — prostuje Kozioł — to... Marianna.

— Jakto, Marianna tutaj? Na urlopie? — pytam zaskoczony.

Dziewczyna spuszcza oczy. Choć pytanie skierowane było do niej, odpowiada matka.

— Na jakim tam urlopie! W domu... i już!

— Ona już nie pracuje w fabryce — mruczy Kozioł, jakiś zafaszerowany...

A to niespodzianka. Patrzę na starego. Kurczy się, pokastuje.

— Dlaczego nie pracuje? — znów pytam.

— Bo nie — ucina matka.

Zupa rozlewa się i syczy na blacie. Ostro swąd wypełnia kuchnię. Zapada przykre milczenie.

— Nie podobało się tam pani? — Znowu odpowiada matka.

— Ona zdrowia nie ma! — a potem dodaje: — Za osiemset złotych?

— A co jej dolega?

Kozłowa wymija pytanie, rzucając oczyma po bokach.

— A co, w domu jej źle? Urodziło się też bosko nie będzie chodzić... a nie, a w domu pomożę. Ojciec przecież już nie do wszystkiego zdany, robić nie ma komu.

Ale mówiliście przecież, że córka zdrowia nie ma.

Kozłowa dzwoni pogrzebacem w węglach.

— W domu przynajmniej lepiej zje... Znajdzie się i kawałek mięsa i tego masła nikt jej nie wydzieli, ubrać się też ubierze...

Urywa nagle i milknie. Już więcej nic nie powie. Żałuję, że się rozpedziła i powiedziała trochę za dużo. Ten następną może sobie pomysłować, że Kozłom naprawdę lepiej.

W pomoc przychodzi Kozłowej kuzyn. Przyjechał na rowerze. Przywiozł dwóch synków, jednego na przyczepce, drugiego na ramie. Ma 4 morgi, pracuje w fabryce w Rzeszowie.

— Nie ma się co dziwić, w mieście ciężko. Co tam człowiek zarobi?... Osiemset? dziewięćset?... Nie podnosząc oczu wyskrobuję paznokciem jakiś niewidoczny plamek z nienagannie zaprasowanych spodni oświeczonego garnituru.

— Za miesiąc stój... a dadzą tego tyle, ile kot napłakał — szybko podnosi oczy i znów opuszcza. — Na jedno lepiej niż przed wojną. Teraz łatwiej o pracę... sami się proszą... i szkoły oswem... on przed wojną nie mógł skończyć żadnej, gdyby skończył, to ho, ho... ale synków wykształci na inżynierów.

Rozmowa zeszała teraz na spółdzielnię.

Stary Kozioł powiada: — Rafy, byli, ale pobrali między siebie i znajomych. Sklepowa sama układała listy potrzebujących, do faktury nikt nie zagląda. Komitet członkowski? Ano, chciał się na początku wtrącać. Jak Rydz Anieła była. Interweniował nawet. Ale go uciszeli. Rydzównę od dziadów wyzwali, że to Rydz ubodzy, a oni lepsi.

— Co za oni?

— A są, są tacy... są...

Kuzyn dorzuca pogardliwie:

— A bo tu słowa nikt nie pnie... boją się. Zresztą pal sześć

węgiel i żelazo, ale mięso... Gdzie jest mięso? No, gdzie?

Zdenerwował mnie. Krzyczę:

— A pan, ile pan uchował na swojej gospodarce swin i sprzedał państwu?

— Ja... — nie był przygotowany na takie pytanie — miesza się...

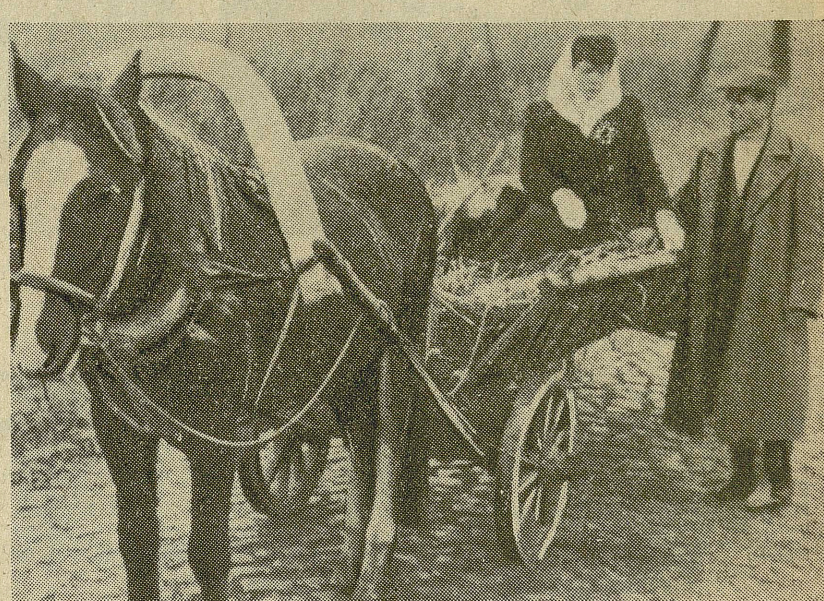
— Co tam takie gospodarstwo, tyle starczy, co dla siebie. Kto ma kolo tego robić? — przychodzi mu w sukurs Kozłowa.

Przerwywam jej.

— Zareż, odpowiedz pan, ile pan swin uchował? Ach, tak, żeby oddać na skup, kupił pan na jarmarku! Więc nie uchował pan nic! To jakie pan ma prawo mówić o mięsie!?

BIADOLENIA KOZŁOWEJ

Kozłowa biadoli. Ale ona i jej podobni biadoli nieszczercze, na pokaz, na wynos, z tradycyjnego nawyku, z lęku, żeby broni Boże nie pomyśleli tam w Warszawie, że chłopu źle, bo gotowi, choroby, przyozyc. Jest to nawyk z tych czasów, gdy rząd był dla chłopów synonimem klasowego ucisku, jego bezlitosnym instrumentem. Nawyk ten utrzymał się u tych, u których, jak u Kozłowej, rozwój świadomości nie nadążył za zmianami w rzeczywistości, a niemając w tym rolę odgrywać podszeptu kulawki. Ale nawet sama Kozłowa zapomina coraz częściej o tym, że „trzeba” biadolić. Tak było naprzykład podczas rozmowy o córce. Zdradziła się wtedy paskudnie i zapłatała we własne sieci. Bo naprawdę to ona cieszy się z awansu dzieci o tyle więcej od męża, o ile jest ambitniejsza, bo naprawdę to ona lepiej od nas spoziera wszystkie korzyści, jakie jej dała Polska Ludowa. Dumna jest z syna „inżyniera”, z „u-



J. K. Maciejewski

cznej” córki. Widzi, że życie u-klada się źle i lepiej... W tym tylko cała rzecz... ze i n a c z e j. Nie tak, jak sobie wymarzyła i u-myśliła, jak mogła umyśleć. A wans społeczny córki przez fa-brykę? Nie, tego Kozłowa jeszcze nie pojmuje. Dla niej awans jest jeden — przez dobre małżeństwo.

Wiem, że w sprawie Marianny nie powiedział mi wszystkiego. Oczywiście ten brak zdrowia to wymówka. W odwołaniu Marianny z fabryki kryją się jakieś gęszce, zasadnicze powody.

Przypomnijmy, że przed wojną tylko 7,1% spośród znikomej liczby wychodzących ze wsi znajdowało pracę stałą. Reszta pracowała dorywczo, w najlepszym razie sezonowo. Po jakimś czasie wracała z powrotem na wieś. Przypomnijmy, że w tej liczbie 7,1% wychodzących na stałe ze wsi był znikomy procent kobiet. I wreszcie przypomnijmy, że przed wojną te kobiety do służb domowych, do suteran stróżowskich, do bezrobocia, a często do rzymszoku.

Wyjście kobiety ze wsi było traktowane jako zło konieczne. Wytworzył się nawyk, że „porządna” dziewczyna szła zarobkować tylko po to, by się „ubrać”, uzbierać sobie na „wyprawę”, na którą rodziców nie stać było. W planie jej stał zazwyczaj triumfalny powrót na wieś z pełną walizką i torbką. A w rezultacie — małżeństwo.

Kozłowa tak właśnie sezonowo i dorywczo tylko traktowała pracę zarobkową swojej córki.

AMBICJE I TRADYCYJNE WZORY

O Kozła się nie boję. Kozioł jest mądry, umie porównywać stare lata z nowymi i wyciągać wnioski. Kozioł jest uzbrojony w radio i gazetę. Kozła nie potrafią wyprowadzić z równowagi po kumoter-sku rozdzielone rafy i gwóźdź. U Kozłowej każda trudność zakarbrowuje się na wątrobie. Kozłowa nie czyta nic. Nie posiada na tyle świadomości, by swoją energię skierować na walkę ze złem, nie posiada na tyle wiedzy, by sobie wytłumaczyć nieuniknione bolączki życia. Tłamsi więc i przetrwają je w ciasnym kręgu podobnie zafaszerowanych sąsiadów. Na takie jak ona stawia wróg, usiłując jej troski skierować w żyzny niezadowolonia.

Kozłowa żyje w kręgu niezaspokojonych ambicji. Soltys postawił piękny dom córce. Tam bliżej szo-sy, za ogrodzeniem z metalowej siatki, mieszkają w willach otoczonych ogródkami wzbogaceni kombinatorzy.

Na nich patrzy Kozłowa, im z-zdrości. Gdyby była kobietą światła i mądra, szukałaby zaspokojenia swych ambicji na nowych drogach, których tyle otwiera przed nią ojczyzna ludowa — w pracy społecznej, w wianowaniu się z władzą ludową, w podnoszeniu gospodarki, w awansie dzieci, w spółdzielczości. Ale ona uznaje tylko awanse i dorobki według tradycyjnych wzorów, obcych jej klasowo i wrógom, podobna jest do owej nierozumnej pszczoły, co trzusi się nad napełnieniem przedziurawione-go plastra, z którego miod już dawno wyciekł, pszczoły kierujące się nie rozumem, a nawykami pokoleń. Ma za złe córce, że wyszła z biednego chłopstwa, drugiej, że chciała pozostać w fabryce, mężowi, że nie dorównał bratu w Ameryce... ani sołtysowi... lub choćby tym chłopcom, co rozebrali baraki poniemieckie...

Jej ambicje to: dobry ożenek z morgami, udany handel, stosunki z bogaczami, ich poparcie, wejście w kręgi kumoterstwa — to właśnie drogi klasowo jej wróg, te, na których ona, uczciwa biedniaczka musi się sparzyć, które przyniesie jej mogą tylko gorzkie i rozczarowanie.

BITWA O KUZYNĄ

Kim jest kuzyn? Do niedawna sprawa była prosta, był chłopem małorolnym lub, jeśli wolicie, półproletariuszem, zbywającym jedynie towar, jaki posiadał w nadmiarze — siłę roboczą.

Ale dzisiaj pracuje w socjalistycznej fabryce, zachowując jednocześnie gospodarstwo rolne. Jest więc pół-chłopem, pół-robotnikiem,

należący do ponad milionowej, szarej grupy społecznej, która korzystając ze wszystkich praw przysługujących robotnikom, korzysta jednocześnie z własnej bazy aprowizacyjnej.

Powinien więc być w zasadzie w lepszej sytuacji od robotnika i od mała, a nawet średniorolnego chłopca. Tak, gdyby był jednocześnie dobrym robotnikiem i rolnikiem.

Kuzyn nie powiedział mi, czy jest dobrym rolnikiem. Wiem tylko jedno: Kuzyn sprzedaje państwu ze swego gospodarstwa o wiele mniej niż mógłby i niż na ogół sprzedają chłopcy nie zatrudnieni w przemysle. Obrazili się jednak, gdybyśmy powiedzieli, że marnuje swoje gospodarstwo. Nie — on go nie marnuje. Ciągnie z niego nawet więcej niż przed wojną. Tak, że wszystko sam zużywa. Nie jest już zmuszony tak jak przed wojną sprzedawać choćby kosztem wyżywienia własnej rodziny. Dlatego tak niechętnie odstawa, że minimalne ilości mleka, zboża, ziemniaków i żywności, jakie przypadają na jego 4 morgi. Nieraz woli nawet kupić niż uchować... Przecież jest faktem, że odciek pracuje w fabryce, obniżył towarowość swego gospodarstwa, produkuje nie na sprzedaż, lecz na własne spożycie.

Kuzyn jest rozgrymaszony. Wymagania jego żołądka urosły nieproporcjonalnie do jego świadomości. Jego apetyty rozwinęły się zbyt szybko, o wiele szybciej niż umysłowość.

Zdumiewająco i nie przypadkowo jest zbieżność apetytów kuzyna i Kozłowej, ale też ta sama ideologia je ukształtowała — ideologia drobnego posiadacza. W tej chwili dla kuzyna celem jego dążeń jest „Jawa” (duży, motocykl), która zaprzęta jego wyobraźnię, podobnie jak „willa za siatką” wyobraźnię Kozłowej. W takim to kręgu doraznych celów kręci się ich umysł. Nie rozumiem, że te dorazne korzyści uwarunkowane są zwycięstwami na szerszym „nieco” polu, że dobrobyt, to dziecko — socjalizmu. Ze tego problemu dobrobytu nie rozwiążą kombinacjami i „osobistą zapobiegliwość”, lecz świadomym włączaniem się w budownictwo socjalistyczne w mieście i na wsi.

Zbieżność apetytów kuzyna i Kozłowej jest uderzająca. Lecz niech to nam nie przesłania oczu. Jednakowy był tylko punkt wyjścia. Lecz Kozłowa jest stara, a kuzyn młody. Czy chce, czy nie chce, uczy się od robotników. Nie zdaje sobie nawet sprawy, ile już w jego postawie jest nowego.

Czymże jest choćby ta jego aktywna reakcja na nieporządku w sklepie Gminnej Spółdzielni, ta pogarda dla starochłopskiej bierności i zafaszerowania. A sprawa synów? Zdumiałby się, gdybyśmy dla jego dzieci szczykowali gospodarstwo nawet na miarę szczęśliwych kombinatorów w „willach za siatką”. Nie, kuzyn inny wybrał dla nich awans. Sam byłem zdumiony... bo to był awans Staszka Kozła — technika i aktywności. To, co już dziś zdobył Kozioł, szczykuje kuzyn dla swych dzieci. Ta „kariera” lepiej mu odpowiada. Dlaczego? Nie pytałem go. Przypuszczam, że jeszcze dziś nie umiałby na to odpowiedzieć.

Na tym swoim „Bałtyku” codziennie wozi on bowiem do fabryki nie tylko swoje mięśnie, ale i niedouczoną głowę. Niedouczoną, lecz bynajmniej nie pustą. Napełnia ją dawne nawyki i tradycje, właściwe środowisku, gdzie przez długie lata ton dyktowały stare autorytety wsi: bogacz i sklepikarz. A takich Kuzynów spotyka się więcej. Na tym więc pocztowym „Bałtyku” codziennie z tyśięcy odległych wsi jedzie do naszych fabryk drobnoburżuazyjna ideologia, często wiadomie eksportowana przez „ulaka i spekulanta, przez wiejskiego morusa i chuligana.

Zanim kuzyn dostanie mieszkanie w osiedlu robotniczym, staje przed nami przejściowy, ale ważny problem pracy politycznej nad kuzynem. Robotnicy, towarzysze fabryczni kuzyna, czy wy-wiecie, z kim on przestaje po powrocie z miasta? Jakże są jego rozrywki i towarzysztwo? Więcej uwagi na kuzynów! Musimy sprawić, aby ich rowery wiozły na wieś nie tylko koperty z pieniędzmi, ale i socjalizm.

Edmund Nizurksi

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Rozmowy o skupie i kontraktacji

N ASZA pierwsza rozmowa? Tak, to było w początkach czerwca, trzymała susza, pojaśniało przedwcześnie żyto i o nim też głównie była mowa. Józef Jaskółka, małorolny ze Szczepańcowa, leżący na dalekiej Krosieńszczyźnie przekonywał mnie, że tegoroczny skup nie powiedzie się, przynajmniej w jego macierzystej gromadzie.

Spogladaliśmy z łagodnym wzrokiem ku wsi a Jaskółka argumentował z przejęciem:

— Wiesz niby nie mała, będzie coś 160 numerów, ale co z tego, kiedy co najmniej 200 młodych osób pracuje w przemyśle i na urzędach. Jak będziemy kosić? Już ci tylko ręcznie. Ale skąd brać ludzi — jeden tylko Pan Bóg wie. Bo jak GOM da jedną żniwiarkę — to i wszystko. A żniwka? Mamy raptem w całej wsi 39 koni zdolnych do pracy. I gdzie to zbóże aż do Krosna taszczyć? Nie damy rady w terminie.

Słowem, Jaskółka przewidywał trudność w organizacji żniw. Gdyby tylko to! Przewidywał, że tegoroczne zbiory żyta nie przekroczą 60—80 proc. zeszłorocznych a pszenicy nawet 30—40 proc. Buraki, rzepak, rzepik, len, fasola zupełnie nie wyszły, jedynie owies i jęczmień jako tako.

— Dadzą nam teraz taki plan, że będziemy pisać!

A nasza druga rozmowa? Koniec listopada, śnieg już pozacierał kolory jesieni, posmutniał krosieński krajobraz. Ale za to Jaskółka promieniał. Okazało się, że wykonał już wszystkie obowiązki wobec państwa w 100 procentach. Podobnie reszta gromady. Cóż u licha! Przecież przed pół rokiem sam mawiał we mnie, że będzie katastrofa. Skąd ta sprzeczność? Ale bo to stary dał mi dość do słowa? Ledwo tylko zaczął: przecież narzekaliśmy wczorajszym latem na brak ludzi... a już mi gwałtownie przerwał.

— Ja tak nie gadałem. I jakże mógłbym o trzech latach skupu. U nas przecież od roku nikt sam sobie nie kosi i nie zbiera. Wspólnie się robi, albo — jak to wy piszecie w gazetach — kolektywnie. My — im, oni — nam. Wszystko było na termin.

— Przecież miało się nie urodzić?

— Nie urodziło? A bo to chłopcy nie nauczyli się stosować nawozów? Skądżeście sobie wymyślił, że zboże w połowie nie wyszło, a buraki wcale. Czy wam tego nie rzekł jaki reaktorzysta?

I gadaj tu z takim! Przecież na własne uszy usłyszałem to z jego ust! Nie ustępowałem.

— Koni ponoć u was tylko 39. Jakżeście na tyle kilometrów dali radę wszystkim obsłużyć?

— Po pierwsze jeden drugiemu zawoził, po drugie nie do Krosna, bo mamy już na miejscu magazyny. To już nie ten rok, co poprzedni! Jaskółka wspomina... Jeszcze dwa lata temu przeważała stara organizacja pracy. Każdy sobie, po sobkowsku. Tego roku siewnik objechał pola wszystkich po kolei. Sam Jaskółka obsiał wszystkie pola z lewej strony drogi. Do żniw podzieliła się gromada na brygady. Każda z nich odpowiadała za zbiór, miłockę i odstawę z kilkunastu gospodarstw. Nowa organizacja pracy, nieznana nigdy dotąd w Szczepańcowie! Powstała dzięki skupowi...

Gratuluję Jaskółce, że tak wszystko dobrze idzie, kłopotów nie ma. A ten znowu na mnie:

— Nie ma kłopotów? Teraz się dopiero zaczęły!

Rzeczywiście. Zaczęły się od mleka. Na ilość krowy dają w sam raz, ale za mało tłuste. Co tu robić? Zmienić krowy, czy może dać sobie spokój z nimi?

Jaskółka prowadzi mnie nad rzekę i powiada, że to ona winna załamaniu się planu dostaw mleka. Nie rozumiem.

— Niby, że mleko wodą chrcicie, czy jak?

Móro rozmowa śmieje się i rozuina przede mną plan regulacji niesfornej rzeki i bonifikacji łąk. Jaka pasza, takie mleko.

— Trza tu takiej melioracji, co sama będzie wodę lała w suchy chas i wyciągała ją w mokre pory. Automat wodny, rozumiecie? A wtedy dostawy mleka pójdą jak należy. Technicy już opracowali plany, na wiosnę będziemy robić.

Zaimponował mi ten Jaskółka! Mleka nie oddziela od krowy, krowy od łąki, łąki od rzeki i automatu wodnego. Znosi się na prawdziwą rewolucję w gromadzie.



J. K. Maciejewski

— Na świnie nie jesteście tu nastawieni? Ogromnie byłem ciekaw co mi odpowie. Z racji mleka zaprowadził mnie nad rzekę. Gdzie powiedzie mnie teraz? Powiódł na wzgórze, skąd widać Krosno.

— Gaz sobie musimy sprowadzić, wtedy będziemy swinkom gotować, bo z węglem i drzewem u nas bryndza, a torfu ani na lekarstwo. Ino, żeby rury dali, do gazu od nas niedaleko. Kobiety powiadają, że hodowała od tego podskoczy. Teraz się indyki też kontraktuje.

Wracamy do wsi, przylgają się do nas chłopcy. Są wśród nich tacy przodownicy, do brzy gospodarze, jak Pacek i Dynowski. Stwierdzamy, że w gromadzie nastąpił przełom, jeżeli chodzi o produkcję. Inna, wyższa organizacja pracy, rewolucja w zakresie hodowli krów, świń, kur i indyków, wielkie roboty melioracyjne, doprowadzenie gazu. Jakż ogromny skok do przodu!

— A odciek do staliście się tacy energiczni? — pytam.

— Ano będzie już kilka lat, jak skup i kontraktacja nastąpiła...

Oto i wieś. Błyszczy już żarówki, przez ściany domów przebijają się radiowe muzyki. Czy nie słusznie nazywamy skup i kontraktację wielką szkołą dla mas chłopieckich, szkołą budowania mostów do socjalizmu?

M ICHAŁA Kliszczaka z gromady Hłowa, pow. Żegań poznałem dopiero w listopadzie br. Wcześniej, na początku roku drukował w naszym piśmie wypowiedź, w której proponował obowiązkową kontraktację żywności, na kilka miesięcy przed państwowym dekretem, znaleźliśmy się więc niejako ze słyszaniem.

Starszy to już chłop, idzie mu 57 rok życia, odznaczony Krzyżem Zasługi za patriotyzm w wykonywaniu obowiązków wobec państwa i wzorowe prowadzenie gospodarstwa. Nie dziwi mnie więc, kiedy oświadcza, że i obecnie jest już „na 100 procent”.

W Kliszczaku zdumiewa i zastanawia przede wszystkim — jakaś niespotykana żywność, pomysłowość, nieustanna troska o spożegowanie i poszerzenie akcji skupu i kontraktacji.

Nie dał przecież jak w październiku na otwartej sesji GRN (Kliszczak jest radnym) podjął zobowiązanie, że zakontraktuje dodatkowo 2 tuczniki i wezwął swych kolegów z gminy i powiatu do współzawodnictwa. Najpierw — konsternacja, a następnie pospasyły się zobowiązania. W rezultacie gmina wyszła już na trzecie miejsce w powiecie i ma szansę na pierwsze.

Stary wspomina o swoim wystąpieniu niezwykłe skromnie, zapala się natomiast do nowego projektu. Myśli mianowicie o tym, żeby powołać do życia agitatorów Frontu Narodowego, jednego na 10 gospodarstw. Dać chłopu odpowiedni materiał propagandowy i niech agituje za skupem i kontraktacją. Rzuć kilkunastu na gromadę, dotrą łatwo do każdego, łatwo wskazać na przodujących, szybko zdemaskują spekulantów.

Rozmawiamy bardzo swobodnie dłuższy już czas, nie mogę się jednak wyżyć przekonania, że Kliszczaka coś martwi, coś przede mną ukrywa. Początkowo sądziłem, że chodzi mu o dosyć drażliwą w jego gromadzie sprawę dostaw mleka. Stary bowiem zapytał:

— Jak sądzić, kto daje mleko — hektary czy krowy?

— Po mojemu — jednak krowy.

— Ano widzicie, a u nas są tacy, jak leśnicy, a nawet i robotnicy, co trzymają po 2 piękne krowy, a nie odstawiają, bo nie mają hektarów.

— Jakto, przecie krowy powietrza nie jedzą.

— Korzystają z gminnych pastwisk i wolnego rynku. Trzeba będzie tę sprawę poruścić, powiększymy plan, będzie tego przeszło 1000 litrów. Tylko, że to urzędniki, łatwo nie pójdzie...

Co dręczy Kliszczaka? Sprawa wyszła na wierzch dosyć niespodziewanie, kiedy to w najlepszej wierze spytałem go, czy i w przyszłym roku będzie przodownikiem. Stary natychmiast spochnął.

— Koniec z przodownikiem. Sam nie dam rady, syna mi zabrali do wojska, córka się uczy. Ja tam zdrowia nie mam wielkiego, a do każdej roboty społecznej człowieka ciągną.

Więc o to chodzi! Pospasywały człowiek spogladając na mnie niespokojnie, złożył przed sobą na stole pracowane ręce, lecz palce w żaden sposób nie chcą szczeleć do siebie przylegać. Wreszcie powiada:

— Pomóżcie mi odebrać go z powrotem... Urywa zaświdyżony. Ot rozsądek nie skontrolował w porę ojcowiskiego serca. Mówię teraz ja.

— Więc nie widzieliście wyjścia?

— Ano nie, lat mi nie ubywa...

— Będziecie chyba musieli zrezygnować z waszej wspaniałej hodowli świń, mniej odstawić, porzucić buraka. Przystaniecie wprawdzie świecić przykładem innym, ale przecież każdy was zrozumie.

Zapada długie milczenie. W końcu stary podchodzi do szafy, dobywa z niej czarną marynarkę. W kłapie błyszczą Krzyż Zasługi.

— Cofnąć się to, tak jakgdyby oddać ten krzyż. Jak przyszła kontraktacja, z roku na rok podnosiłem produkcję, a teraz przerosło to moje siły. Cofać się do dwóch świńek, żyłka i lichej trawki?

Twarda sztuka ten Kliszczak! Słyszę go przecieć wyraźnie.

A bo to tylko u mnie taka sytuacja? Wszyscy z roku na rok rzucają coraz więcej na rynek. A teraz inaczej już nie poradzi. Wó! albo przewóz. Czas na Komitet Założeń.

Ze szkoły powróciła córka. Ojciec całuje spokojnie jej jasne włosy. Czuję ciepło w sercu, kiedy stary mówi.

— Przecież ona musi się uczyć, taka jest zdolna...

Wiesław Jażdżyński

W P O Z N A N I U

Mieczysława Jastruna. Autor pracy poprzestając na omówieniu trzech ostatnich tomów opublikowanych przez poetę; słusznie i poprawnie ocenił „Rok urodzaju”, „Barwy ziemi”, a wreszcie „Poemat o mowie polskiej” jako etapy dojrzewania poezji Jastruna do twórczej metody realizmu socjalistycznego. Uwagi o stylu poetyckim Jastruna poparte polemiką z niesłusznymi sformułowaniami Ludwika Flaśnaza w „Zyciu Literackim” przostaną z pewnością w naszej krytyce literackiej jako jej trwałe dorobek. Oczywiście, praca Trznadla nie rozwiązała wszystkich wysuniętych problemów. Niepełnością grzeszyły stwierdzenia o twórczym stosunku poety do tradycji kultury narodowej.

Zjazd nie stworzył syntez literatury powojennej — nie możemy jednak mieć o to pretensji, zwłaszcza, jeśli przytominimy sobie, że autorami referatów byli nasi najmłodsi poloniści. Syntezy takiej nie stworzyła wszak jeszcze i nasza starsza kadra krytyczna. Mimo to referenci i uczestnicy dyskusji nie tylko trafnie wskazywali na kierunek rozwoju naszego piśarstwa, ale szczegółowo zanalizowali wiele zagadnień związanych z narodzinami i rozwojem tego kierunku. Większość referatów wykazała wreszcie ambicję przeprowadzenia wszechstronnej analizy utworów, analizy, polegającej nie tylko na ustaleniu postawy ideowej twórcy, ale i na rozpatrzeniu użytych w utworze środków wypowiedzi artystycznej i ich ideologicznej funkcji. W niektórych referatach były to jeszcze tylko ambicje; realizację tych założeń metodologicznych osiągnęły prace Zaworskiej, Bereszy, Lama i Trznadla.

Pozytywne osiągnięcia Zjazdu sądzicie młodzież przede wszystkim pomocy pracownikom literatury w tymczasowym Instytucie Badań Literackich, która przez cały okres przygotowań do Zjazdu czuwała nad pracą referentów, organizowała dyskusje nad poszczególnymi studiami, nie mało też przyczyniła się do organizacji Zjazdu. Zjazd przyciągnął również do współpracy niektórych zawodowych krytyków literackich. Kilkakrotnie wystąpił w dyskusji Ryszard Matuszewski. Dobrze upamiętnił się w historii obrad poznańskich Grzegorz Lasota — niejednokrotnie *spiritus movens* Zjazdu, żywy i czujny uczestnik

większości posiedzeń, aktywny i cennie rozwiązujący wiele trudnych problemów dyskusant. Nie zabrakło również samych pisarzy: na rozpoczęcie obrad wygłosił przemówienie Jarosław Iwaszkiewicz, zaś Mieczysław Jastrun podzielił się z zebranymi ciekawymi uwagami na temat własnej pracy pisarskiej.

Powinno być przede wszystkim wpływ Zjazdu na naukową i polityczną aktywizację wszystkich ośrodków młodzieżowych. Odbiło się to i w obfitości referatów, i w rozległości dyskusji. Bez przesady można stwierdzić, że masy członkowskie Kół Polonistycznych wykazały w ciągu Zjazdu wielką żywotność, a żywotność ta wzrastała z każdym dniem obrad. Na mównicę dzielili się swymi uwagami o młodzieży polonistycznej całego kraju ludzie nieznani jeszcze wczoraj, studenci drugiego, a nawet pierwszego roku polonistyki. Tym, którzy byli na Zjeździe, przypomniały się niegdyś stałe listy dyskusantów. Poziom dyskusji z rzadka tylko obniżały wypowiedzi metodologiczne niedojrzałe, czy merytorycznie niesłuszne. Na ogół cechowała przemówienia dyskusantów rzeczowość wniosków, trafność krytycznych uwag. Kadra polonistyczna rośnie „wszser” — to podstawowy wniosek wyniesiony z obrad poznańskich. Kadra polonistyczna rośnie także „w głąb”. Z każdym rokiem pogłębia się jej świadomość polityczna, z każdym rokiem posługują się ona coraz bardziej sprawnym narzędziem — krytyką marksistowską.

Dla obrad poznańskich charakterystyczna była zwarta konsolidacja ideowa młodzieży polonistycznej. Na VI Zjeździe nie było już właściwie linii podziału między obozem marksistowskim a idealistycznym. Nie było tej linii, ponieważ trudno „obożem” nazwać kilkucobową garstkę epigonów krytyki idealistycznej. Ci ludzie wystąpili na Zjeździe albo z odwołaniem do przestarzałych, przez mołe żartach frazesów — albo też, widząc nieuchronne zwycięstwo literatury socjalistycznej realizmu i partyjnej krytyki literackiej, usiłowali przybrać „marksistowski kostium”, by z takich „immanentnych” pozycji domagać się równoprawienia dla „idealistycznego realizmu”, który także podobno odzwierciedla rzeczywistość: tyle tylko, że kształtowaną przez „odmienne prawa”.

Dodajmy, że właśnie te „prawa” nie mają z rzeczywistością wspólnego i że są w istocie rzeczy konstrukcją scholastyczną, której kłam zadaje prawda życia. Te wszystkie — nieliczne zresztą — wystąpienia spotkały się z surową odpową zarówno ze strony poszczególnych dyskusantów, jak i całego audytorium. Narzekali na tę surowość w rozmowach kulturalnych Stefan Kisielewski, skarżąc się, że zamiast „partnerów do gry w szachy” znalazł na Zjeździe zdecydowanych przeciwników ideowych i politycznych. Odpowiedź Kisielewskiego: naszym zdaniem dobrze się stało, że młodzież polonistyczna nie potraktowała obrad poznańskich jako „gry w szachy”, jako intelektualnego „mah-jonga”, jako bezstronnych „graszek uczonego do wciup”. Młodzi krytycy traktują poważnie własną pracę naukową. Młodzi krytycy z całym wyrobieniem politycznym odczytują przeciwstawność ideologiczną ukrytą w tych lub owych niefrasobliwych żartach. A postawa zajęta przez Zjazd wobec wypowiedzi Kisielewskiego jest właśnie — jak podkreślił w końcowym podsumowaniu obrad Andrzej Wasilewski — świadectwem wzrostu dojrzałości ideologicznej młodej polonistyki, świadectwem ideowej konsolidacji całej naszej młodzieży. Ta konsolidacja nie omija również polonistów studiujących na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Szczególnym optymizmem napędza nas aktywny udział w obradach ze strony postępowych studentów KUL-u — zwłaszcza, że w wypowiedziach ich żar polemiki ideowej wzbogacony został o trafność argumentacji i rzeczowość wygłaszanych ocen.

Na zakończenie tych uwag jedno wspomnienie ze Zjazdu. Kiedy — przy końcu obrad — po odśpiewaniu hymnu młodzieżowego, parę głosów bez zapowiedzi zaantonowała „Międzynarodówkę”, cała sala niemal w ciągu sekundy podchwyciła rewolucyjną nutę. Nie był to z pewnością przypadek. W ten sposób uczestnicy Zjazdu zadokumentowali raz jeszcze, że cała młoda kadra krytyczno-literacka nie uprawia już „polonistyki bez przyszłości”. Ich polonistyką, naszą wspólną polonistyką — to nauka służąca sprawie proletariatu i całego narodu, to nauka marksistowska.

Zbigniew Żabicki

JACEK TRZNADEL

O POEZJI MIECZYSLAWA JASTRUNA

PISAL kiedyś Borys Pasternak w jednym ze swoich dekadentkich wierszy: „nigdy nie zgodziłbym się być ziemią”.

W wierszu Jastruna ze „Spotkania w czasie” (pierwszy tom Jastruna — 1929 r.) czytamy: „cięży mi cięższa od wszystkich planet ziemia”. Charakterystyczne było dla dekadentkiej poetyki o ahumanistycznym odcieście od świata, w dziedzinie własnych wizji zdolnych „w każdej chwili prześnić się w lotne zjawisko”. Było to odwrócenie się od świata społecznych spraw i ono właśnie kazało im potępić ziemię — symbol życia. Dlatego nie przypadkowo swojemu tomikowi nadał poeta tytuł „Barwy ziemi”. Jastrun dobra szczególnie starannie tytuły swoich tomów — tak, że najczęściej nabierają znaczenia symbolicznego, charakteryzującego zawartość ideową tomu.

„Barwy ziemi” leżą na tej samej linii rozwojowej, jaką wytyczył poprzedni tom Jastruna — „Rok urodzaju”. Ale mimo tego zaskakują nas nową jakością, pełnią przemian, jakie zaszły znów w postawie ideowej artystycznej poety. Jakże urosła konkretność obrazów poetyckich, umieszczenie utworów w ramach epoki, ich realizm. Jak wzrosła odpowiedzialność poety, jak pogłębiła się więź z narodem, solidarność z walką toczoną przeciw imperializmowi, jak wzrosła aktywność poety w tej walce.

Poeta wyzywa się odkretnieć, podobnego niekiedy do psalmistycznych wersetów stylu, jaki spotykamy nieraz w „Roku urodzaju”. To już nie pozbawione twarzą symbole ludzkiej nieprawości, pod którymi przedstawiał poeta niekiedy imperializm. To konkretne obrazy podpalaczy świata. Oto utwór „Przywitanie Eisenhauera”. Widzimy konkretny adres polityczny, kierunek ataku, resekę na żywe fakty życia politycznego. Oto przeniesione do literatury nazwiska zbrodniarzy: Hans Loerner, Hans Hochberg, Herman Pook, Krupp, Baier, Karl Sommer i wśród nich nieprzećiętny obraz podpalacza, obraz jakich mało w naszej współczesnej literaturze — Eisenhower.

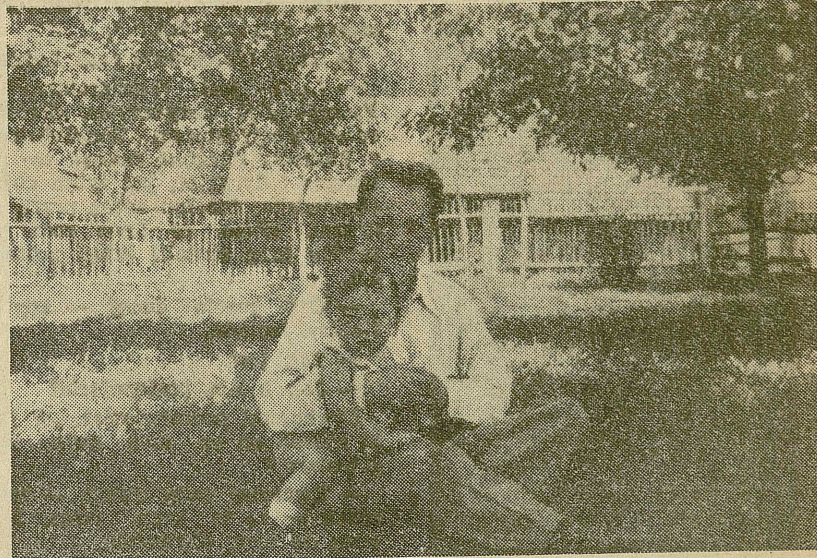
Słyszycie? Trzeszczą belki jutrzejszych zabienic.

Sprawiedliwa jest zemsta ludów
kiedy karzą.
Idzie przez światło sal jutrzejszy
potępienie,
W sztywnym mundurze, z zimną
jak katechizm twarzą.

Przytoczone wyżej wyciągnięcie brzmiące prawie jak lista oskarżeń, to konkretność poezji aż do surowości dokumentu. To symptom walki wymierzonej przeciw konkretnym zbrodniarzom: „Ja ich tutaj słowem napiętnuję, sprawiedliwość wieków oddam ich nazwiska” — pisze poeta w tym samym utworze.

Poezję polityczną Jastruna cechuje czujność, podejmowanie najważniejszych tematów. Mówi o tym w „Barwach ziemi”: „Ballada niemiecka”, w której poeta rewiduje pogląd na stosunek do narodu niemieckiego, witając rodzenie się nowych Niemców, mówią o tym strofy o walczącej Korei.

Niewiele naszych współczesnych poetów z równą siłą, co Jastrun wyraziło w swej poezji gorące przywiązanie do swego kraju, uczucie patriotyzmu, dumy narodowej. Charakterystyczna była w dwudziestolecie pochwała samarytanizmu u Lechonia, czy siły u Wierzyńskiego — ojczyzny starych krzywd społecznych. Oprócz poezji Broniewskiego jak trudno byłoby dośzukiwać się w poezji tego okresu cech narodowych. Jakże nikt nie było odbicie świadomości narodowej w sztuce burżuazyjnego pisarza. I tylko nieliczni zdobywali się na słowa pogardy dla ojczyzny krzywdy, wyzysku i niedoli mas ludowych — dla burżuazyjnego pojęcia ojczyzny, by myśleć o nowym Polsce, która nie będzie pełną ludowej krzywdy. Waży były echa tych przemysłów w przedwojennej poezji Jastruna. Znajdźmy jednak echa goręcej, znajdziemy obnażenie pseudohostwa wolności narodowej. Już jednak w okresie okupacji poezja Jastruna zdecydowanie i wyraźnie nasyciła się patriotyzmem, odbija drogę, jaką zbliżał się do narodu radykalizujący inteligent, zbliżał się do jego walki z faszyzmem prowadzonej pod przewodnictwem komunistów. Patriotyczny ton twórczości Jastruna w owym czasie nie posiada charakteru proletariackiego — pozostaje ogólnie antyfaszystowski. Również i bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości będzie Jastrun obnażał zdradę narodową rodzimego faszyzmu, notował fakty krwawej walki klasowej toczącej się w kraju. Będą to jednak pojedyncze wiersze. W każdym razie wyrosło patriotyczne namiętność w poezji Jastruna nie zaskakuje nas u tego poety tematycznie, ale na pewno siłą wyrazu, pełnią związania z narodem, patriotyzm nowego typu. Poezja musiała zanotować wzrost ludowego patriotyzmu, wyrastanie mas ludowych, tworzenie się narodu socjalistycznego. Gorący ton patriotyzmu to typowa cecha realizmu socjalistycznego. Jeśli sztuka burżuazyjna wyrzuciła za burtę sztafard świadomości narodowej, słuszą grupie antynarodowych sma-



Mieczysław Jastrun

koszy kosmopolitycznej „czystej sztuki”, to poezja realizmu socjalistycznego wznosi wysoko sztafard dumy narodowej, uczestniczą w życiu narodu, odbija zachodzące w nim przemiany.

Nie przypadkowo wzrost tych elementów w poezji Jastruna staje się bardzo wyraźny w „Roku urodzaju” (1950). W „Barwach ziemi” widzimy pogłębienie się tego tonu, pełnię osobistego zaangażowania, widzimy polemikę z kosmopolityzmem.

Patriotyzm Jastruna to potępienie starego, powstrzymanie rozwoju narodu, to pochwała zachodzących przemian. To nie u wielbienie ludowego prymitywu. Tak będzie w „Liście Anny Zywioł”, analfabety, której władza ludowa dała do ręki książkę i pióro — utworze napisanym celowo surowym, biłym wierszem, celowo upraszczającym środki wyrazu. Tekst będzie w utworze „Stary chłop”, pełnym miłości do ludu, sławiącym wieś traktorów, czy pełnym optymistycznej wiary w przyszłość utworze „W Nowy Rok”. Dużo miejsca poświęca Jastrun zwiastu — przemianom wsi polskiej. Ostrą walkę klasową na wsi wyraził poeta w wierszu „Własność”, odważnie sięgając po najbardziej żywe konflikty, uwydatniając nieuchronność zwycięstwa nowego — wsi spółdzielczej. Ozywiają nową urodą w poezji Jastruna opisy przyrody ojczyzny kraju. Przypomina się twórczość polskich romantyków wzbogaconą o tony nowe, uwarunkowane całą nowością historycznych przemian.

Jest jeden szczególnie akcent charakteryzujący przemiany ideowe poety. To zamiana spojrzenia w przeszłość na spojrzenie w przyszłość. To nie zale nad utraconą „inną młodością”, ale wybieganie w przyszłość, jasne dni. Przemianę tę określił poeta wprost w wierszu „Hej! do zwycięzcy”, w wierszu „Małenki synek śpi... Jeszcze wyrażni uwidzieli się to w następnym tomie (Poemat o mowie polskiej) w cyklu wierszy „O synku”. Najbardziej może wyraził to poeta w słowach:

To ona — rewolucja
Wyprzedza nasze kroki, serca
I czas nam daje w ręce
Jak sztafard przechodni.

Nie zamknięcie w „Barwach ziemi” — ton rozważań nad sztuką, analiza własnych osiągnięć pisarskich. Jak i w „Roku urodzaju” rozważania te mają charakter społeczny, są dokonywane z pozycji społecznych. Mają jednak one w „Barwach ziemi” charakter o wiele bardziej jednoznaczny, nie są ukryte pod symboliką, jak to było często zauważać w tonie poprzednim. I tutaj mają charakter polemiczny wykraczający poza ramy twórczości samego Jastruna. Wskazują na społeczną nieprzydatność wszelkiego rodzaju „niekonducystwa w sztuce, na szkodliwość odchodzenia sztuki od celów społecznych:

Znałem ciebie, proroku czterech
przenosił,
Znałem ciebie, śnieżnopy
tębażu.
Jak żal dzisiaj waszej młodości,
Z której już nic nie będzie!
Świecić próchna gwiazdę
pyłem,
Chyba nigdy nie byliście młodzi.
Ja sam — co w tamtych latach
uczyniłem

Dla robotniczej Łodzi?

Wyjątkowo jasno będzie mógł teraz poeta wyjść poza ramy polemiki i formułować program polityczny. Społeczne i humanistyczne cele sztuki staną się ideową podstawą tego programu: „Prawdziwe słowa blask od słońca biorą twarzą do ludzi nie za ich plecami i stamtąd je dla siebie tylko wzięli”. A włączając się do dyskusji poetyckiej stawiał Majakowski jako wielki wzór właściwego pojmowania celów sztuki i związania z rewolucją, jak pisze — „nieustające natchnienie”. „Stację daleko-bieżnych wzruszeń”. Jednocześnie żywo protestował przeciw „głazom” i „głazom” pojmowania poezji Majakowskiego jako szablono- najwłaściwszych rozwiązań formalnych.

To zwrócenie się poety do wzorów realizmu socjalistycznego, do poezji radzieckiej, daje się odczytać w tonie, zresztą nie tylko w tonie ideowym. Oto symbol słońca, użyty parokrotnie przez Jastruna np. w wierszu „Stacja—

Majakowski”, „Słowa służą elektryfikacji uczuć” — symbol nawiązujący do Majakowskiego (Należy obywateli przykuć do rzeczywistości, a Władimirem Majakowskim na dachach). Nawiązanie poety do tradycji pieśni rewolucyjnej. W „Odzioł majowej” transponuje piękne strofy międzynarodówki. Jednocześnie nadal czerpie poeta z tradycji narodowej — w składzie, obrazowaniu, wersyfikacji, w znamiennym dla Jastruna nawiązaniu do tradycyjnych motywów. To wszystko jest dowodem na wyjście poety w formułowaniu i realizowaniu pozytywnego programu poetyckiego poza ogólne stwierdzenia, na przeniesienie ich do zagadnień formy poetyckiej, poszukiwań realistycznych nowych rozwiązań artystycznych. Jak bardzo np. zmienił się typ metafory. Jest w nowym metaforze Jastruna poszukiwanie pewnych współczesnych nowości skojarzeń, branie ich ze świata nowych spraw, nowych problemów jakimi żyją ludzie naszej epoki. Rzucę dwa przykłady. „Słowa służą elektryfikacji uczuć” — w tej metaforze jest odwołanie się do zdobyczy, jakie niesie socjalizm, do symbolu jego osiągnięć. Metafora ta nie tylko jest nowa, zarazem zaskakuje nas swoją trafnością, naturalnością artystyczną.

Drugi „Pieśń martenowską z myśli i woli wypala nam nową formę”. I tutaj podobne zagadnienie jak w pierwszym przypadku. Jednocześnie widzimy odwołanie do dawnego metafory, zmianę ich sensu, nadanie im nowego odkrywcze brzmienia. Przytoczę strofę z wiersza „Phenian”:

Lecz gwiazda ognia świeci
światu

Phenian — wlatuje ptak
nadziei,

I wielka krew proletariatu
Jutrenką uschodzi z gór Korei.

Jakiż żużyty zdawałoby się obraz — wschód jutrenki. Tutaj nabiera on nowego znaczenia. To wschód nowej klasy społecznej. W zwrocie „ptak nadziei” jest nie tylko subtelne nawiązanie do poezji Wschodu — to symbol pokoju, który stał się czytelny w naszej epoce dla milionów mas. Bierze również poety pewne tradycyjne metafory, by nawiązując do ich treści rozwijać dalej zawartą w nich myśl. Widzimy tu nawiązania do tradycji poezji narodowej. Oto jak przekształcił poeta metaforę ukazującą siłę ludu w dialogu Wysockiego w trzeciej części „Dziadł”:

Ziemia, wieków ciąg cały —
to nie gnój pokoleń,
Zmieszany z krwią, co może
jutro zmiernieć;
Wulkan wyrzuci żar, co tlił
się w dole,
No zimną powierzchnię.

Ten sam zwrot w utworze „Stacja — Majakowski”: „Ludów ława gorąca przebiega zalew”. Ta metafora pogłębia sens zwycięstwa proletariatu, mas ludowych — ukazuje je jako zakończenie walki toczzonej przez masy ludowe o sprawiedliwość społeczną.

Nowe realia, nasycenie konkretnością, wtargnięcie nie tylko do metaforyki Jastruna. Metafora przekształca się na ogół surowszym, trudniej, dopiero po zmianie charakteru obrazów poetyckich, nasyceniu obrazów, słownictwa realiami, nowymi zwrotami, całą sumą zanotowanych przez poetę nowych zjawisk. To widac wyraźnie w wierszach zawartych w „Barwach ziemi”. Coraz silniejsze jest przechodzenie poety od pewnej ogólnikowości do pogłębienia konkretności obrazów, wchłonięcia współczesnych, charakterystycznych dla naszego doświadczenia realiów. Trudno wybrać jakiś najbardziej znamienny przykład — sądzę, że uderza to w ogólnym tonie wielu utworów.

Sądzę, że nie rezygnując z dalszej walki o jakość ideową i artystyczną swojej poezji poeta miał pełne prawo napisać w „Odzioł majowej” optymistycznej afirmacji walki ludu i jego zwycięstw:

Niech cieniem służy nam drzewo
liście,
Jak ja poezją swoją wam służę,
Nieście przed sobą czerwoną
gwiazdę,

Nieście przed sobą czerwoną
różę.

Jacek Trznadel

Fragmenty referatu wygłoszonego na VI Zjeździe Młodych Polonistów w Poznaniu.

ADOLFA RUDNICKIEGO

VI Zjeździe Młodych Polonistów



Adolf Rudnicki

Walka komunistów w jego nowelach jest niezmiernie uboga w realia historyczne, w fakty, które dałyby uogólniony obraz wypadków typowych dla rewolucyjnej działalności KPP w latach trzydziestych.

Z tym ograniczeniem spojrzenia pisarskiego łączy się fakt, iż autor ani w „Koniu” ani w „Józefowie” nie zdecydował się na bezpośrednie ukazanie faktów od strony głównego bohatera. Spojrzenie na nie oczyma widza, obserwującego ostatnie chwile umierającego na gruzie Joela Filuta, lub oczyma starego ojca Zachariasza, członka nie będącego bohaterem walki, lecz pośrednio z tą walką związanego — świadczy również o pewnym dystansie. Rudnicki nie decyduje się na zaprezentowanie nam swojego pozytywnego bohatera wprost, na ukazanie go w działaniu, w walce, w skomplikowanym kontekście zagadnień charakterystycznych dla walki prowadzonej przez partię komunistyczną. Postacie owych jednomyślnych pozytywnych bohaterów jego opowiadań są uchwycione nie w momencie ich bezpośredniej walki klasowej — lecz w chwili, gdy schodzą już z placu boju, nie są pokazane wprost, lecz przepuszczone przez filtr obserwacji: w wypadku „Józefowa” — obserwacji autora będącego narratorem, w wypadku „Konia” — obserwacji starego krawca Kagan. Obserwacja ta, jak było to już powiedziane, dotyczy nie momentu szczytowego ich walki, lecz chwili jej bezpośredniego zakończenia.

Ten wybór sytuacji łączy się do tak — z charakterystycznym dla Rudnickiego przesuwaniem akcentów z pozytywnego, świadomego działania jednostki w społeczeństwie na akcenty tragizmu i cierpienia, jaki-

mi naznaczeni są wszyscy jego bohaterowie. O ile jednak i w młodzieńczej jego twórczości i w opowiadaniach okupacyjnych tragicznym ten bywa jedynie brzemieniem gnających ofiar lub reprezentuje fatalistyczną koncepcję losu ludzkiego w ogóle, o tyle w nowelach lwowskich nie zacierają na realizm opowiadań: bohaterowie nowel giną w walce, która zostaje prowadzona dalej i której zwycięski koniec jest określony perspektywami rewolucyjnej walki proletariatu.

Ten charakterystyczny, przy całym realizmie tych opowiadań brak ostatecznego przezwyciężenia dawnego spojrzenia na rzeczywistość od strony ginących w niej jednostek, to skoncentrowanie uwagi na swym pierwszym bohaterze pozytywnym nie w okresie jego najcięższych związków z życiem i społeczeństwem, lecz w chwili, gdy choroba związki te zerwa (Joel Filut) — to ograniczenie tematu (którego samo podjęcie jest niewątpliwym przełomem w twórczości autora) do perypetycznego, w stosunku do możliwości, jakie temat ten nasuwał, odcinka — świadczy o pewnych ograniczeniach, typowych zresztą dla tego etapu przemian ideologicznych inteligentnego pisarza, na którym ostry polityczny widzenie pozostawało na dostrzeżenie zasadniczego konfliktu epoki i sugeruje jego historyczne rozwiązanie, lecz brak ostatecznego wyjścia poza swoją warstwę i zajęcia miejsca po tej stronie barykady, po której walczą proletariaty, utrudnia bardziej konkretne i klasowe sformułowanie programu politycznego, zmniejsza zakres obserwacji pisarza, jego doświadczenia społecznego, możliwość uchwycenia walki rewolucyjnej w całym jej powiązaniu ze społecznym tłem epoki. Na ile tych ograniczeń bardziej rozumiałe staje się późniejsze ograniczenie realizmu w okupacyjnych opowiadaniach Rudnickiego.

Obok „Konia” i „Józefowa” do opowiadań lwowskich należy „Blic” (pierwotny tytuł „Wrzesień”), drukowany po raz pierwszy w „Nowych widnokrągach” w 1941 roku. W owym okresie było ono pierwszą próbą spojrzenia na doświadczenia wojenne. Opowiadanie nie ma ambicji całościowego ogarnięcia wypadków, rozpoczynających drugą wojnę światową. Jest raczej próbą ukazania fragmentu walk wrzesniowych od strony doświadczeń szarego żołnierza. Ta postać szarego żołnierza nie po raz pierwszy pojawia się w prozie Adolfa Rudnickiego. Pamiętam ją z jego dwóch książek o

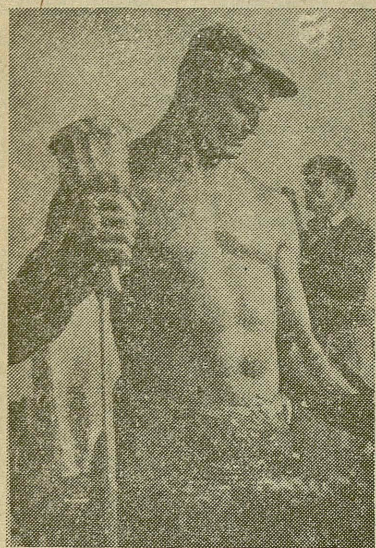
wojsku: „Żołnierzy” (1933) i „Doświadczony” (1939). „Blic” jest jakby dalszym ciągiem tych książek. W demaskacji sanacyjnego systemu wychowania, w ujawnieniu bezpodstawności mitu „armii” zawarł Rudnicki już w dwudziestolecie akcenty przewidyujące przyszłą klęskę. „Blic” przynosi obraz tej klęski. Rudnicki nie rozszerza w nim zasadniczo zakresu obserwacji, nie rozszerza perspektyw środowiskowych. „Blic” jest drobnym fragmentem wydanym wrzesnia 1939 roku. Ale fragment ten oddaje realistycznie atmosferę tamtych dni, jest bogaty w realia, notuje tu Rudnicki wydarzenia ze ścisłością i dokładnością, nadając opowiadaniu cechy reportażu. Pisze o rozbięciu organizacji wojskowej, o braku ubrania i broni, o uciesze generałów, o żołnierzach, którzy „nie mogli stać się żołnierzami”, bo nie mieli czym walczyć. Wartość „Blicu”, jego realizm polega z jednej strony na ukazaniu zdrady narodu przez sanację, która wydała wrogowi kraj najzupełniej do walki nieprzygotowany; z drugiej zaś — na pokreśleniu patriotycznych postaw mas żołnierskich, ich zdradzonej gotowości obrony, ich obojętności w stosunku do tych, którzy byli odpowiedzialni za klęskę. Na szczególną uwagę zasługują te fragmenty „Blicu”, które notują fakty, mówiące o klasowej podziałce społeczeństwa i której dostrzeżenie świadczy o dużej ostrości widzenia pisarza. Tak będzie z ukazaniem postaci Władysława Domaradzkiego, osiem lat siedzącego w więzieniu za działalność wywołującą na terenie wojska i po ucieczce administracji więziennej zgłaszającego się na tyłach do obrony kraju, tak będzie z wymowną sceną, kiedy po kapitulacji kapitan Łyżczewski wygłoszawszy żwawo, bogocześnie przemówienie, spotyka się z zamiast z oczekiwanym spontanicznym śpiewem — z milczącą obecnością stojących bez słowa żołnierzy.

„Blic” był pierwszym opowiadaniem o Wrześniu, oddającym z wielką wyrazistością atmosferę tamtych dni. W zestawieniu z pozycjami takimi, jak „Sad” Andrzeja Wierzyńskiego lub nowele Zukrowskiego z tomu „Z kraju milczenia” — opowiadanie Rudnickiego odbija zdecydowanie realistycznym potraktowaniem tematu, rozległością obserwacji, ostrością politycznego widzenia. W naszej literaturze o Wrześniu „Blic” pozostanie na pewno jednym z najciekawszych opowiadań. Zamyka nim Rudnicki realistyczne osiągnięcia swej twórczości na etapie doświadczeń lwowskich.

Helena Zaworska

ANDRZEJ BRAUN

CZUJNOŚĆ OBOWIĄZUJE



SLEDZCY milczał chwilę, patrząc mu prosto w oczy. — Od kiedy pracujecie na stoczni? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Od czterdziestego szóstego roku. — Na jakich oddziałach? — Najpierw na remoncie, a od pół roku jako niter. — Kiedy wstąpiłście do partii? — Przecież mówiliśmy. W czterdziestym trzecim do PPR-u. Dziwi się, że nie słyszeliście... Markowski nie wiedział, co zrobić z rękami. W świątecznym granatowym ubraniu czuł się skrepowany. W ustach miał gorzki od wypalonych papierosów. — Gdzie pracujecie? — Wzruszył ramionami. — Różnie. Na pochylniach. W blubowni. — Na remoncie też? — A jakże. — Wyjeżdżacie na statki? — Pytanie śledczego w wielu wypadkach brzmiało jak stwierdzenie. Można im było tylko przytakiwać. Michał był przekonany, że ten człowiek wie wszystko, a pyta ze względów czysto formalnych. Zrozumiał to natychmiast i postanowił mieć się na baczności. — A poza terenem stoczni? — No, jakże! Jeśli statek jest pod załadunkiem, to nierzadko trzeba robić dzień i noc, żeby skończyć remont, a nie przedłużać postoju. — Spiesz się wem do domu? — Pewnie. Następnego dnia trzeba na statku do roboty. — Spiesz się wem... — powtórzył funkcjonariusz Bezpieczeństwa. — Ale na handel i szmugiel to mieliście czas. — Na szmugiel?... — Markowski pokiwał. — No, no. Nie udawajcie głuchego! Kto was do tego wciągnął? Was, gwardziści!... — głos śledczego, gdy rzucił to pytanie, drgał hamowaną wściekłością. Oczy przybrały twardy, nieustępliwy wyraz. — Mnie? Do czego? — dziwił się Markowski, starając się za wszelką cenę nie zdradzić zbyt nieopanowanym głosem. — Mówcie prawdę! Markowski milczał. Śledczy rzucił nań krótkie, uważne spojrzenie i wyjął z szuflady biurka jakiś przedmiot. Zważył go krótko w dłoni, po czym cisnął na stół przed oczy Michała. Złoty, metalowy krążek błysnął i zabrzęczał metalicznie o blat. — „Twardo!” — powiedział pogodnie śledczy. — Znalezione przy was. Markowski przejechał ręką po włosach. — Przy mnie? — No, nie przy was, ale przy koleżkach z waszej brygady. Zresztą to nie ma znaczenia. Przecież razem chodziliście do portu i razem szmuglowaliście. — Z kim? — Śledczy spojrzał nań ironicznie. — To wy mnie pytacie? A z kim chodziliście? — Z Minorowskim, Gołębiem, Leonem... innych nie znam. — A właśnie, właśnie. O tych mi chodzi — powiedział zjadliwie śledczy. — Chodziliście razem — bronili się Markowski — ale dzieliliśmy się na grupy niterkie i pracowaliśmy w rozmaitych miejscach. Ja mogę tylko odpowiadać za siebie i za swojego pomocnika, Leona. A przecież chodzili z nami i mechanicy, i elektrycy, i kotlarze. Każdy zaszyje się gdzieś na statku i robi na własną rękę. Cholera ich wie, jakie mają kontakty z załogą. — Nie zalewajcie głodnych kawałków! — wybuchnął funkcjonariusz Bezpieczeństwa. — Powiedzieć od razu wszystko. Wasi kamraci siedzą już pod kluczem. Markowski przeklnął ślinę suchymi wargami. Przeraził się. A więc nakryli ich i Leona też... — Znacze inżyniera Wesolowskiego? — spytał śledczy, rysując piórem listki i trójkąty na skrawku papieru. — Wesolowskiego? Dyrektora Zjednoczenia? Nie, nie znam. — A od kiedy towarzyszył Leon pracuje na stoczni? — Też od czterdziestego szóstego.

— Wiem. Inżynier Wesolowski. Owcześnie dyrektor Z.S.P. *) — Skąd Wesolowski znał Leona? — Leon jest reemigrantem z Francji. Był marynarzem. Wrócił razem z dyrektorem Wesolowskim z Zachodu. Podobno poznali się na okręcie i dyrektor, jak tylko objął stanowisko, dał mu zaraz pracę w stoczni. Wiem, że Leon sam się przede mną chwalił taką protekcją. — Czy macie żonę? — spytał śledczy leniwie. — Tak jest. — Jak z nią postępujecie? — Markowski poczerwieniał. „W jaki sposób on ze mną gada, ten gówniarz?” — Zwracam wam uwagę — wycedził — że to moja rzecz. Nic wam od tego, obywatelu. Funkcjonariusz Bezpieczeństwa uśmiechnął się raptownie. Ostra jego twarz straciła natychmiast całą swą surowość. — Wicie, towarzyszu Markowski — powiedział wciąż z tym samym uśmiechem — człowiek składa się z różnych elementów i żeby go zrozumieć, trzeba poznać wszystkie. A ja chcę was zrozumieć — tak? — Tak — odparł. — Ale za mało wiecie o tych sprawach. To osobny temat i nie należy do was. — Nie, towarzyszu. Nie ma spraw „osobnych”. Wszystko na świecie wiąże się ze sobą, a jedno wynika z drugiego. Markowski odetchnął nieco i poczuł się rażonej. Skoro śledczy mówił doń per „towarzyszu”, to znaczy, że sprawa jest na dobrej drodze. Dotychczas traktowano go jak oskarżonego, teraz przynajmniej mówią doń po ludzku. Rozkrochmalili się. — Lubicie wypić? — spytał śledczy. — A kto nie lubi — chciał to powiedzieć w formie dowcipu, ale jakós nie wyszło. — No, no. Wszystko ma swoje granice — oświadczył śledczy. — Wpadliście w długi. Przez piąństwo zapłaciście się. Przez wasze postępowanie stacacje się tak nisko, że stajecie w jednym szeregu z przemytnikami. Myślicie, że w ten sposób będziecie mogli dobrze pracować? Ani się obejrzyjecie, a już znajdziecie się w szeregach wrogów klasy robotniczej. Oczy śledczego zabłyśły, rysy nabrały ostrości brzytwy. — Wicie, co było w Elblągu? — spytał z naciskiem. — Słyszałem, że podobno był pożar i że to zrobili sabotażyści. — Podobno pożar, podobno sabotażyści! — wybuchnął śledczy. — Wy nie wiecie! Nie wiecie, jak byście dopiero na świat przyszli! Nie wiecie, że istnieje wróg, który tam ogień podłożył ręką takich wykołajców jak — niewiele przesadzając — wy! A kiedy ze spalonej hali udało się uratować osłabiałki i zamontować je w innym miejscu, jeszcze dwa razy ten sam wróg próbował je zniszczyć. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby paraliżować produkcję. I ten wróg jest pośród was! Chyba tylko szuka narzędzi i wykonawców, stara się demoralizować klasę robotniczą, ażeby słabszych i podległych opłacać maczami wywiadu jak osmiernica. On liczy na was. Żeby was rozpić i podporządkować sobie. Żeby codziennie rękoma waszymi przencić nasz dorobek do kieszeni zagranicznych agentów. Dziś wam się lekki chleb uśmiecha, waluciarstwo i spekulacja, jutro wódka popchnie was do tego, że nie dziesięcioldorówkami, ale plany produkcji będziecie szmuglować cudzoziemcom. I wy dajecie się omentać przez nich, chcecie za ich pieniądze wsadzić nóż w plecy ludowi pracującemu? Nie ma to wrogów na samej stoczni, wśród naszych niterów? Sieją oni niewiarę, podrywają autorytet naszych hasel walki o podniesienie produkcji, budzą nienawiść do partii. A wy postępowaniem waszym dostarczacie im broni, planicie imię pęzetperowca! I kto? „Bury”, gwardzista! Przecież wy byliście naszym człowiekiem. Najbardziej nasz. I co z was się zrobiło? Tu! — Oficer Bezpieczeństwa, nachylił się nad biurkiem, zaciskał gorzko pięści, oparte o blat. W twarz jego zaszła tak raptowna zmiana, że Markowski najpierw przestraszył się, a potem — ogarnięty podziwem — wpatrywał się w jego płucone oczy zbliżone na odległość paru centymetrów. Rumieniec wstępujący ogarnął czoło i policzki Michała. Dopiero po chwili odczuł płomień krwi w skroniach. Musnął go szybki oddech śledczego, przesycony zapachem tytoniu. Brudzy koło ust śledczego pogłębiły się, twarz cała przybrała wyraz wyrzutu i żalu. Było coś tak ujmującego w tej szczerości, z jaką wymyślał Markowskiemu, w tym osobistym traktowaniu całej sprawy, że rumieniec Michała stał się coraz ciemniejszy. Poczuł do bezpieczeństwa gwałtowny przypływ sympatii. — „Ale mnie zajechał — pomyślał. — to musi być ktoś ze starej zastrzyżki. Brudzy przy ustach zastrzyżki.”

gwardii. Jak to może być, że go nie widziałem? — Jednocześnie w miarę słów śledczego uświadamiał sobie swoją sytuację. Wiadomość o aresztowaniu kolegów z remontów przerażała go. Rano nikt mu o tym na stoczni nie mówił. Czuli, że grunt usuwa mu się spod stóp. — Nie potraficie nic opowiedzieć — grzmiał dalej śledczy — to może pozwolicie, że ja wam opowiem, jak bywa. Zdemoralizowaliście się, towarzyszu „Bury”. Upiście się po knajpach, maltretujecie żonę. Kiedy wam pieniądze na wódkę nie starcza, właściciel knajpy wciąga was do lepszego interesu. Zaczynacie szmuglować walutę z cudzoziemskich statków w czasie remontów portowych. Wasza legitymacja partyjna, wasza godność robotnika stocznego jest wygodnym parawanem dla spekulanta, staje się nie gorszym towarem niż waluta. Wciągacie innych, mniej wyrobionych kolegów, organizujecie całą szajkę, osłaniając się wzajemnie. To nie brygadziści odpowiadają za ludzi — to wy odpowiadacie, jako stary partyjniak! No a teraz powiedzmy, że dzieje się tak: wasi wspólnicy od złota-dajnych interesów dają wam małą paczkę, żebyście wrzucili ją bosmanowi z „Empire Pearl”. „Co to szkodzi — myślicie sobie — niech tam oni zarobią, zarobię przy nich i ja. Kto się o tym dowie?” No... — zrobił ustepliwy gest ręką — wysyłają was na inny statek, paczkę przekazujecie Gołębiowi czy Minorowskiemu, czy któremukolwiek z tym samym poleceniem. Tylko, że nie udaje się. Pech chce, że wpadają do dolarami. A w pakiecie są plany rozbudowy stoczni i — po nitce do kłębka — wszystkich waszch łap. No, co na to powiecie? — Mówią do śledczy, cały czas patrzył w oczy rozmówcy natarczywie, brutalnie. Poprzedni żar i podniecenie jego gdzieś znikły, głos nabierał metalicznego brzmienia. — W miarę słów funkcjonariusza Bezpieczeństwa, krew z policzków Markowskiego odpływała i twarz jego okryła śmiertelna bladeść. Pod oczyma i koło nozdrzy powstały sinawe cienie, jak u trupa. Kiedy oparł się łokciem o biurko, ręka jego ześliznęła się bezwładnie na kolano. Przeknął coś zeschniętymi ustami i na ostatnie pytanie śledczego odpowiedział z chłopską, jęklową skargą. — Ludzie, co wy?... — Natychmiast jednak krew wróciła mu do twarzy, spawował, ogarnęła go niepowskrzyżmana wściekłość. Zaczął krzyknąć podniesionym głosem: — To kłamstwo! To wszystko drańskie kłamstwo! Co wyście wymyśliłi? Ja miałbym być zdrajcą, agentem; i czym jeszcze? Czy wy doprawdy myślicie, że ja mógłbym coś takiego zrobić? Nieprawda! Nie żęście przy mnie nie znaleźli, w niczym nie brałem udziału! Pierwszy raz słyszę o tym wszystkim! Co wy ze mnie robicie? Ludzie, miejcie rozum! Nie znacie mnie! Toż ja krew przelewałem... Zresztą, czy to ja nie robotnik, nie cierpiałem od faszyzistów, nie byłem ranny w Gwardii? A z mojego ojca, nie wypylali krwi kapitaliści? Czy ja nie pracuję dla sprawy, nie wbiłam nitów tymi rękami? Cóż wy ze mnie robicie szpiega, judasza, że ja partię mógłbym zdradzić?... Ejże, myślicie, że tak łatwo szmatać zrobić człowieka?!

FRANCISZEK ZAWADA

LIST Z CZECHOSŁOWACJI

Od mojego przyjaciela, Zdenka, otrzymałem z Czechosłowacji list. Zdenek pochodzi z Knuć, a więc z terenu, w którym rośnie czechosłowacki Donbas, wielki kombinat metalurgiczny im. Klemensa Gottwalda. „Czy wiesz, czym były dawniej Knućce? Małeńką wioską, którą z trudem odnalazłbyś wśród ostrańskich wzgórz. Na pewno tyle samo wieścił Czech i Słowak o Knućcach, co wy wieściłiście przed kilku laty o wiosce, gdzie powstaje dziś wasza Nowa Huta pod Krakowem. Smutnej wioski Knućce już nie ma. Wyrósł tu potężny kombinat dla produkcji żelaza i stali. Nieocenioną pomocą były wspaniałe maszyny radzieckie. I patrz, mimo trudności w dwa lata po rozpoczęciu prac ruszyła koksoownia, a po tym dwa wielkie piece. Tempo budowy wielkiego kombinatu nieustannie narasta”. Wspomina też Zdenek o Huko. To krótkie słowo oznacza ogromny kombinat hutniczy w Słowacji, która w burzliwej Czechosłowacji była źródłem taniej siły roboczej oraz dogodnym, wewnętrzny rynkiem zbytu. Kraj zasobny w bogactwa naturalne i drzemając w rękach energii elektrycznej był krajem nędzy i zaojania. A dziś? Rosną potężne elektrownie nad Weliawą, na Orawie, na Chrudimce i kiedy ruszy Huko, zaojania i pogrążona nędzą w nędzę Słowacja będzie produkować więcej stali, przypadającej na głowę mieszkańca niż wielokapitalistyczna Anglia. A dziećmi nowym hydroelektrowniom już w roku 1953 Czechosłowacja będzie dysponowała trzykrotnie większą energią elektryczną niż przed wojną. „Ale — pisze Zdenek — nasze plany produkcyjne nie były wykonywane w roku ubiegłym. Nazywamy ostrański okręg przemysłowy — stalowym sercem Republiki. Odtąd to stalowe serce do niedawna nie było właściwym rytmem. Nie trzeba było długo szukać przy-

czyny takiego stanu rzeczy. Proces Slansky'ego otworzył nam ostatecznie oczy”. Ostrawa nie wykonała planu w roku 1950 i w połowie 1951 roku. Nie wykonała planu i inne zakłady przemysłowe. A przecież taka brygada górników Kotlański z Kladna wykonuje już plany nowej przyszłej pieciolatki. A przecież brygada spawacza Dautnaca wykonuje 400 proc. normy. Dzieki takim ludziom przemysł czechosłowacki jest w stanie w roku bieżącym wykonać już plan pięcioletni. „Po raz drugi — pisze Zdenek — wróg naszego narodu próbował wpuścić z powrotem kraj w niewolę kapitalistyczną. Pamiętam rok 1948. Wtedy to agenci burżuazji sięgnąć chcieli na rozkaz angielski po władzę. Przetarliśmy im łapy. Ostatnio również ponieśliśmy wielkie straty. Ale potrafimy je odrobić, a narto wyciągnęliśmy nową naukę, która przypomina mi słowa Fuczika: „Ludzie, kochałem was. Bądźcie czujni!” Slansky zeznał na rozprawie: „Wróg wewnętrzny twierdził — że najmniejbezpieczniejszy wróg — może on otworzyć wrota — Ja właśnie byłem takim wrogiem”. Na takich właśnie jak Slansky, Kostow, Rajk postawił imperializm. Do roku 1948 wrogowie prawie jawnie sabotowali przeprowadzenie reformy rolnej, zachowując poważne obszary w rękach kolaborantów i obszarników, sabotowali nacjonalizację przemysłu, byle jak najwięcej zakładów utrzymać w rękach kapitalistów, sabotowali kontrolę państwową nad handlem zagranicznym. Wroga zdezaszkowali i zlikwidowali jego jawne agenty Gottwald w lutym 1948 roku. To

zwycięstwo pozwoliło Czechosłowacji wykonać pierwszy plan dwuletni przed terminem i z nadwyżką tworząc podstawy do budowy socjalizmu. „Mówi się o naszym kraju — pisze Zdenek — że to kraj wysoko-uprzemysłowiony. Wiele pocóż ta rozbudowa kombinatów i nowych hut? Mówi się o naszym standardzie życiowym. Wiele po co tak rozbudowywać ciężką przemysł, skoro nie mamy natęgniętych rezerwatów? Widzisz jak wróg prowadzi u nas propagandę? Bo Czechosłowacja tylko z pozoru należała do najbardziej uprzemysłowionych państw Środkowej Europy, w rzeczywistości była jednak kolonią międzynarodowego kapitalu, ponieważ nie miała własnego przemysłu produkującego środki produkcji, nie miała swoich własnych baz surowcowych. Miała natomiast przemysł lekki, będąc w ten sposób całkowicie uzależniona od zagranicznych mocodawców. I dlatego przeciwko socjalizacji mógł występować tylko wróg naszej niezależności politycznej i gospodarczej kraju”. Jakże inaczej jak nie brodnica robotą można nazwać fakty, wywołania nowych maszyn jako wybrakowanych do Izraela, czym wydatnie wspomagał burżuazyjny rząd Ben Guriona, narzędzie Anglosów? Kiedy Węgry Ludowe zgłaszają zapobiegawcze na papier rotacyjny, wteży kilka Slansky'ego wysła go do... Brazylii po niższych cenach. Kiedy Jugosławia tytułowa nie wykonuje od dawna swoich zobowiązań, wymykających z umów handlowych z Czechosłowacją, to podładzi Slansky'ego forsują wywóz do Jugosławii. Natomiast od Bulgarii żądano surowców, których ona nie posiada, ale tytoń sprowadzano ze zmarzłizowanej Turcji, choć Bułgaria ma go pod dostatkiem i w dobrym gatunku. Takimi sposobami kilka Slansky'ego hamowała socjalizm. Takich faktów, świadczących o metodach sabotażu i dywersji odstąpił proces Slansky'ego wiede. Zrozumiałe się stały pewne doświadczenia trudności, jakie przeżywała Czechosłowacja. Zdemaskowanie brodnicej roboty pozwoliło robotnikom czechskim i słowackim nie tylko wypełnić plany, ale i je przekroczyć! Ci, którzy przygotowali śmierć Fuczika, nie zdolali jednak zgłuszyć jego uśpianych słów, technicznych prawdą życiową i siłą: „Ludzie, kochałem was. Bądźcie czujni!” Te słowa stały się dziś podstawowym hasłem KP Czechosłowacji. Franciszek Zawada

W SZEREGI KLASY ROBOTNICZEJ

(dokończenie ze str. 4)

Ci chłopcy, uświadamiam sobie to wyraźnie, idą dopiero w szeregi klasy robotniczej, lecz jeszcze w nie nie weszli. Jakże silnie obciąża ich drobno-kapitalistyczna wieś, mimo, iż żaden z nich od dawna nie miał w ręku ani pluga, ani nawet bata na konia. „Ja wolę swoją jedną maszynę, jak moja matka swoje gospodarstwo” — słowa te dzwiedziały mi długo w uszach. Ta nieprzewidywana tradycja drobnego posiadacza, ciąży jeszcze na jego synu i przeskądza mu być brygadierem, hamuje drogę do socjalistycznego kolektywizmu. Jakież życie! Kiedy wracaliśmy ze Starachowic wzdłuż Kamienną — widziałem budujące się osiedla. Na wzgórzach nad Wierzbniem i Skarżysku wyrosło wiele nowych domów. Ktoż to taki będzie tam mieszkał, jeżeli nie Jędrzej Milewski ze swoją dziewczyną, jeżeli nie Cymerys? I wtedy wejda na stałe w szeregi klasy robotniczej. Ale to nie wszystko. Doraznie trzeba sobie powiedzieć bez obłonek: od młodzieży dużo możemy wymagać, ale wiele też musimy jej pomóc, pomóc w wyzwoleniu się z filisterskiej sytości i samozadowolenia, jakim praca fabryczna w pobliżu wsi uśpiła ich ambicję, jakim zahamowała przejściowo rozwój ich świadomości społecznej i aktywności. Stachanowcy nie wyrosną mechanicznie z chłopaków wiejskich, którzy mają w zapleczu chłopską wieś, rodzinę i dwie, trzy morgi. Leszek Skrzydło

JERZY LUBOSJAN

Z Ziemi Opolskiej

LATEM 1945 roku powróciłem na Opolszczyznę, którą opuścić musiałem. Dwóch studiuję w Moskwie. Miejsce Technikum, wybudowane w roku ubiegłym i oddane do użytku, wydało w roku bieżącym 120 techników dla naszego przemysłu. Hutę miejscową „Andrzej”, pustą przed rokiem 1945, dziś wypełniają nowe maszyny, przysyłane przez naród, który dał nam wolność, przez naród radziecki. I maszyn tych przychodzi coraz to więcej, że hale budowane przez dawniejszych kapitalistów — junkierskich Niemców okazują się za małe, trzeba je poszerzać i podnosić, a załogi hutnicze zwiększać. Buduje się również hotele robotnicze. Ten sam rozwój przemysłu i szkolnictwa stwierdzamy w powiecie strzeleckim. Obok Zawadzkiego liceum ogólnokształcącego zostało otwarte w Gogolinie w pow. strzeleckim. Dawniej istniało tylko jedno gimnazjum w Strzelcach. Poza technikum w Zawadzkim, mamy dziś drugie technikum w południowej części powiatu strzeleckiego. Mamy uniwersytet ludowy w Błotnicy. Mamy powszechny rozwój szkolnictwa, który popiera ludność miejscowa, posyłając dzieci do tych szkół. A fabryki rosną w sposób podziwu godny. Fabryka narzędzi również w Strzelcach fabryka chemiczna „Pionier” Zdzieszowice, fabryka obuwia w Otmęcie. Ludność miejscowa nie może na dążyć za zapotrzebowaniami poszczególnych fabryk. A przejdźmy dalej. Kędzierzyn, Łabędy, cementownia „Odra” w Opolu, fabryka tuszczu w Brzegu, huta „Mała Panew” — i wiele innych, jak np. fabryka w Ozimku, przewyższająca w zabudowaniach o 90 proc. zabudowania z czasów dawniejszych. Tak pracuje, tak uczy się i tak zagospodarowuje swoją ziemię opolską ludność od wieków polska, tam mieszkająca. Toteż pracuje z poświęceniem i wiarą, że to co robi, jest istotnie dla niej i dla Polski ukołchane. I ta ludność, tak jak i cała Polska, głosem i czynem wola za pokojem. Dawniej zrywała się do walki, wylewała obficie swoją krew; dziś daje swoją pracę, swój trud i kroczy odważnie razem z 600 milionami ludzi, zwolenników i obrońców pokoju światła. Jerzy Lubosjan

ATEM 1945 roku powróciłem na Opolszczyznę, którą opuścić musiałem. Dwóch studiuję w Moskwie. Miejsce Technikum, wybudowane w roku ubiegłym i oddane do użytku, wydało w roku bieżącym 120 techników dla naszego przemysłu. Hutę miejscową „Andrzej”, pustą przed rokiem 1945, dziś wypełniają nowe maszyny, przysyłane przez naród, który dał nam wolność, przez naród radziecki. I maszyn tych przychodzi coraz to więcej, że hale budowane przez dawniejszych kapitalistów — junkierskich Niemców okazują się za małe, trzeba je poszerzać i podnosić, a załogi hutnicze zwiększać. Buduje się również hotele robotnicze. Ten sam rozwój przemysłu i szkolnictwa stwierdzamy w powiecie strzeleckim. Obok Zawadzkiego liceum ogólnokształcącego zostało otwarte w Gogolinie w pow. strzeleckim. Dawniej istniało tylko jedno gimnazjum w Strzelcach. Poza technikum w Zawadzkim, mamy dziś drugie technikum w południowej części powiatu strzeleckiego. Mamy uniwersytet ludowy w Błotnicy. Mamy powszechny rozwój szkolnictwa, który popiera ludność miejscowa, posyłając dzieci do tych szkół. A fabryki rosną w sposób podziwu godny. Fabryka narzędzi również w Strzelcach fabryka chemiczna „Pionier” Zdzieszowice, fabryka obuwia w Otmęcie. Ludność miejscowa nie może na dążyć za zapotrzebowaniami poszczególnych fabryk. A przejdźmy dalej. Kędzierzyn, Łabędy, cementownia „Odra” w Opolu, fabryka tuszczu w Brzegu, huta „Mała Panew” — i wiele innych, jak np. fabryka w Ozimku, przewyższająca w zabudowaniach o 90 proc. zabudowania z czasów dawniejszych. Tak pracuje, tak uczy się i tak zagospodarowuje swoją ziemię opolską ludność od wieków polska, tam mieszkająca. Toteż pracuje z poświęceniem i wiarą, że to co robi, jest istotnie dla niej i dla Polski ukołchane. I ta ludność, tak jak i cała Polska, głosem i czynem wola za pokojem. Dawniej zrywała się do walki, wylewała obficie swoją krew; dziś daje swoją pracę, swój trud i kroczy odważnie razem z 600 milionami ludzi, zwolenników i obrońców pokoju światła. Jerzy Lubosjan

*) Z.S.P. — Zjednoczenie Stoczni Polskich. Obecnie Centralny Zarząd Przemysłu Okrętowego (C. Z. P. O.).

Fragment powieści pt. „Lewanty”, która ukazuje się w wydawnictwie SWO „Czytelnik”.

JÓZEF MAJCHRZAK

PIEŚŃ, KTÓRA ZNALAZŁA OJCZYZNĘ

CZAS najwyższy, aby sprostować opinię jakoby na Dolnym Śląsku nie było miejsca dla badacza polskiej pieśni. Etnograf stał tu wobec dwu poważnych problemów. Z jednej strony musi odtworzyć pieśń przeszłości nieraz ze szczątkowych form, z drugiej — podpatrzyć krzyżujące się wpływy współczesnej pieśni z dawną. Tutaj bowiem skoncentrowały się dziś elementy folkloru różnych regionów Polski. I tak: w pow. kłodzkim usłyszysz muzykę podhalańską, koło Świebodzic wiekopolskie wiaty, pod Trzebnicą pieśni krakowskie i świętokrzyskie, w Jordanowie Śląskim gra prawdziwa kapela z Nowotarszczyzny, a już w Bąkowiech powiatu namysłowskiego łączy się współczesna pieśń z rodzimą dolnośląską odgrzebaną ze starych zapisów lub pamięci ludności autochtonicznej. Dolny Śląsk przeżywa dziś ciekawy proces formowania własnego oblicza, obliczonego na kilkadziesiąt lat. Na ogół mówi się, że pieśń śląska nie jest ciekawa, że jest przesianą obcymi wpływami, zwłaszcza niemieckimi i wreszcie, że nie przedstawia większej wartości zabawkowej. Pogląd krzywdzący lud śląski i umniejszający jego wytworzy kulturowe, został obalony na październikowej naradzie pracowników i działaczy kultury i sztuki w Szczecinie, gdzie zrodziła się myśl stworzenia „Zespołu pieśni i tańca — Śląsk”. Mamy nadzieję, że zespół „Śląsk” odrzuci rodzimy folklor i ukaże go w pięknej szacie na wzór „Mazowsza”.

Lud śląski z utratą wolności politycznej najwcześniej stanął wobec zagadnienia walki o byt i prawa narodowe. Toteż język i pieśń ojczysta odegrały tutaj rolę zasadniczą w obronie przed wynarodowieniem. Pieśń śląska jest ponadto najlepszym dokumentem mówiącym o polskości tych ziem. Kiedy w drugiej połowie ubiegłego stulecia zmieniano systematycznie polskie nazwy osiedli na różne „Dorfy” czy „Hofy” — pieśń śląska nigdy ich się nie wyzwała. Śpiewano wtedy daleko o Olawie jako o pięknym mieście, o Rozbarku, o Łagiewnickim polu, o zegarach w Opolu i o Wrocławiu — zawsze jako o polskim mieście.

Lub też piosenka z pogranicza Dolnego Śląska i Opolszczyzny.

Warszawa i Kraków, są to szwarne miasta,
Obiecał król pruski, że je potrzaski.
Kościuszkę odpał i go się nie boi,
W Krakowie, Warszawie pełno wojska stoi.

Maszeruje wojsko z rozkazu
Kościuszkę, to ten mój milusiński.

Pieśń rodziła się tutaj spontanicznie na tle bogatych orzędów i obrazowa treść życia Ślązaka. Obok pieśni lirycznej pełnej wymownych uczuć ludzkich, często spotykamy pieśń gniewu i buntu. O wielkim impulsem twórczym, świadczą szczególnie pomysłowość w tworzeniu wariantów czyli odmian, opartych na temacie jednej pieśni. Na przykład samych wariantów opartych na melodii „Za Krakowem czarny las”, istnieje w całym Śląsku ponad sześćdziesiąt. Ta droga przeszła do śląskiej pieśni wiele motywów z pastorałek i koled Rzecznymi, że w żadnym wypadku nie przedostała się tu koleda niemiecka w rodzaju „Tannebaumu”, z którą każdy Ślązak zapoznać się musiał chociażby w szkole.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia zaczęła się przesuwać granica językowa na wschód od Nysy i Odry. Na zjawisko to wpłynęła akcja germanizacyjna i rozwój przemysłu, który odcigał ludzi z zabiedzonej wsi do ośrodków miejskich. Akcja ta trwająca od czasów rządów żelaznego kanclerza Bismarcka, a idąca poprzez czasy Wilhelmów i Hitlera, w znacznym stopniu zahamowała dalszy rozwój polskiej pieśni. Co gorsza — pieśń zaczęła zanikać. W jej obronie stawali liczni ofiarni zbieracze.

W roku 1844 zasłużony działacz i pastor polski w Międzybórz Robert Fiedler (na linii Oleśnica — Ostrów Wlkp.) pisał broszurę: „Bemerkungen über die Mundart der

polnischen Niederschlesier”, czyli „Uwagi o gwarze dolnośląskich Polaków”. W tym samym roku drukują ją w wydawnictwie Wilhelma Gottlieba Korn w Wrocławiu. W broszurze mówi, że dialekt dolnośląski obejmował za jego czasów wszystkie powiaty: Kluczbork, Namysłów, Syców, Brzeg, Olawa, Oleśnica. Gwarę dolnośląską zalicza do bardzo starej, sięgającej historycznie do czasów Kochanowskiego. Stwierdza, że poza nielicznymi formami gramatycznymi przejętymi z języka niemieckiego, wona jest ona od zasadniczych germanizmów, a słowotwórstwo jest czyste polskie. Tym dialektem jak mówi dalej, posługują się około 120.000 Polaków-Szlazaków. W drugiej części broszury podaje dziewięćdziesiąt tekstów do zanotowanych w Międzybórz polskich pieśni.

Wprawdzie wszystkich pieśni zanotował 50, lecz te nie doczekają się naszych czasów, gdyż Fiedler wysłał je Towarzystwu Etnograficznemu w Gostyniu — a tam zaginęły.

Drugim ciekawym szczegółem o dokumentarnym znaczeniu jest wydrukowany w roku 1863 nakładem firmy Schlechter we Wrocławiu zbiór 545 pieśni zebranych przez lekarza niemieckiego dr Juliusza Rogera. Wprawdzie Roger zbierał pieśni na Górnym Śląsku, mimo to, kilka pieśni dolnośląskich weszło również do zbioru. Ujęty ich urokiem tak pisze w przedmowie:

„...na tych piaszczystych polach wyrósł wonne kwiaty pieśni gminnej, tam mieszkali wieszczę wśród ludu i z ludem, którzy najśliczniej się wypiewali piosenki, tam żył skromni kompozytorowie, których imiona dawno przebrzmiały lub może nigdy znane nie były, ale ich nuty orzeźwiają duszę i serca, nie zagnają dopóki lud żyć będzie. Pieśni te, po większej części wprost z ust ludu spisane przeze mnie, przez moich przyjaciół i inne osoby, które udało mi się na kłonić do zebrania pieśni. Jak

wszędzie tak i tu po wsiach pieśń żeńska głównie zachowuje pieśń gminną, to też piosenki moim zbiorom objęte prawie wszystkie pochodzą z ust niewieści, a nie jedna ręka kobieta spisała dla mnie piosenkę ulubioną. Hoffmann z Fallerslebenu zasłużony wydawca pieśni ludu śląskiego (kustosz biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu w roku 1823, drukował pieśni polskie w Schlesische Provinzialblätter — przyp. mój) opowiada, że jedna z wieśniaczek spod Wrocławia umiała wypiewać sześćdziesiąt pieśni. Tak samo i mnie nadmienię wypadła na pochwałę wybornej pamięci jaką obdarzona była jedna z górnośląskich wiejskich śpiewaczek, że umiała na pamięć nuty i tekst przeszło 80 piosenek”.

Ukazanie się zbioru wywarło na Niemcach wielkie wrażenie. Tłumaczyli wiele pieśni zbioru i wydawali je jako mniejsze śpiewniki, lub drukowali poszczególne pieśni w czasopiśmie. W dwa lata później lekarz Albert Weiss, tłumaczył cały zbiór Rogera na język niemiecki i za namową Hoffmanna z Fallerslebenu wydał 50 pieśni pt. „Album polnischer Volkslieder der Oberschlesier”. Popyt na zbiór Rogera był tak wielki, że w dwa lata później potrzebna była drukowania następnego wydania. Tym razem cenzura Bismarcka skierowała przedmowę, zezwalając jeno na druk samych pieśni. Widać, że apologeta obiektywnego Niemca Rogera, była mu nie w smak, gdyż zbyt dobitnie uwypuklała polskie tradycje Śląska.

Pieśń śląska, tłumiona przez długi czas politycznego i społecznego ucisku, nie zaginęła. Ten sam lud, któremu zamknięto usta, któremu kazano wyrzec się polskiej mowy i pieśni, doczekał się dnia wolności. Odwaga, patriotyzm, nieustępliwość i umiowanie polskich tradycji pozwoliły mu doczekać się czasów, w których stał się prawdziwym gospodarzem tej ziemi.

Jerzy Majchrzak

JAN KOPROWSKI

Zapiski
DZIEJE JEDNEJ POWIEŚCI

TEMATU do jednej z powieści dostarczyło mi życie rodzinne brata mego ojca — stryja Adama. Oczywiście każdej z występujących postaci dałem inne imię i nazwisko i nikt z tak zwanych osób postronnych nie mógł się domyśleć, o kim mowa. Nawet druga żona stryja, opisana przeze mnie w



Rys. Bimali Horską

powieści, nie wiedziałaby o niczym, gdyby nie jej pasierb — Zenon. — Obydwaj on służył wojskową w Warszawie i był ze mną w kontakcie.

On to, jadąc na urlop do rodzinnej wsi zabrał z sobą również moją księżkę.

Nie wiem dokładnie jak tam było, to jednak wiem, że wieczorem czytał powieść na głos i gdy doszedł do opisu drugiej żony głównego bohatera, tj. mego stryja, oświadczył macosze, że to właśnie ona. Macocha wyrwała mu księżkę z ręki i sama zabrała się do czytania. Istotnie mogła odnaleźć w opisie pewne cechy swego zewnętrznego wyglądu. W powieści znajdowało się takie na przykład zdanie: „Córka Nowaka nie była urodziwa, miała czarną cerę, ludzie mówili o niej, że na chrzestnego diabła jej widać zmówiono; po prawej stronie twarzy rostała jej duża owłosiona brodawka”.

— Nie masz pojęcia, co się po przeczytaniu tych słów zaczęło dziać — opowiadał mi później Zenon. Matka zacerwieniła się z mieszcą i z całej siły szmyrgnęła księżkę w kąt.

— Co on tam wypisuje, że diabła mi na chrzestnego zmówiono — wykrzykiwała. — Co to, nie urodziła się jak należy?

Chodziła po izbie zdenerwowana do najwyższego stopnia, w pewnej chwili podniosła księżkę z kąta i podeszła z nią do kuchni, gdzie właśnie trząsała wesoło ogień.

ŚMIERĆ DZIADKA

DZIADEK mój był człowiekiem po prostu przeszmiesznym. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek w naszej bliskiej i dalszej rodzinie miał weselsze od niego usposobienie. Nie brał na serio, ze wszystkiego drwił ku wielkiemu zgroźeniu babki, kobiety cichej i pobożnej. Babka miała na imię Ewa, ale dziadek mawiał do niej zawsze „Jewka”. Czasami ją to drażniło, zwykle jednak nie zwracała na to większej uwagi. Szczególnie bolała jedynie nad „brakiem powagi u dziadka”. Gniewała ją, że dziadek lubi chodzić w odwiezieniu, na wesela, pić wódkę, śpiewa i tańczy. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim, że dziadek chętnie zabierał babkę ze sobą. Gdy się opierała, mówił do niej:

— Chodź, Jewka. Co ludzie powiedzą, jak mnie zobaczą samego. Pomyśl, że mam wódeczkę i jeszcze wydadź mi gotówkę. Cóż miała babka robić po takich słowach? Naturalnie zabierała się z dziadkiem, a potem, gdy się upił i śpiewał, bardzo była temu nierada i wymyślała mu szkaradnie:

— Uchłasteś się, jak świnia. — Jak człowiek, Jewka, jak człowiek. Świnie nie pija.

I co było z takim robić? A przecież muszę powiedzieć, że bardzo się oboje kochali. Dziadek w ogień by za babką skoczył, a i ona przywagała się do niego całym sercem. Dziadek był wysoki, miał długie siwe włosy i chodził w butach z cholewami. Nigdy nie widziałem go w kamaszkach. Nie przypominam sobie również, aby chorował kiedyś obłożnie. Postępek i skarżył się zaczął dopiero mając lat siedemdziesiąt. Ale i wtedy nie kładł się do łóżka.

Babka poczęła go namawiać, żeby udał się do doktora.

— Jedź, Franuś (Frank był dziadkiem), może ci co dobrego przepisze.

— Pojadę chyba po to, żeby ci nie robić przykrości. Bo ja tam w eskułapów nie wierzę.

— A czy ty wierzysz w cośkolwiek? — zapytała babka.

— Wierzę.

— Ciekawam, w co?

— W ciebie, Jewka, w ciebie.

Wrócił obłądowany lekarstwami. Ze wszystkich kieszeni zaczął wyjmować buteleczki i ustawiać je na stole.

— I co masz z tym robić,

— Pić, Jewka, pić. — Rozpalał ogień na blazie.

Dziadek pozwalał wszystkim lekarstwom do jednego garnka, postawił na kuchni, żeby się nieco ogrzało i popróbowował.

— Gorzkie, psianka. Daj-no, babka, miodu.

Str. 7

— Spalę to diabełstwo, spalę. Na taki wstyd mnie narażi, mój Boże! Na próżno Zenon usiłował jej wytłumaczyć, że to przecież zmyślone postacie, że nikt nie będzie miał pojęcia, o kogo tutaj chodzi. Ale ona nie wierzyła.

— Cały świat teraz wie, że to mnie opisano. Jak ja się ludziom na oczy pokażę. O, ja nieszczęśliwa. Spalę, spalę!

— A nawet, jeśli mama spali, to cóż z tego. Tej powieści wydrukowano czterdzieści tysięcy egzemplarzy. — Ile?

— Dziesięć tysięcy. Stryjna chwyciła się za głowę, potem wyjęła z szuflady chustkę i pokropiwszy ją octem, określiła sobie głowę dookoła.

— Pojadę do miasta i wykupię te wszystkie powieści — odezwiała się znowu po namyśle.

— Musiałaby mama jeździć po całej Polsce — perswadował Zenon. — Książki rozsyła się przecież do każdego miasteczka.

— O, ja nieszczęśliwa!

Ostatecznie książki nie spaliła. W ciągu kilku tygodni przeczytała ją do końca i oddała Zenonowi bez słowa. Była to jej pierwsza przeczytana powieść.

Niechcinnie puszcilibyśmy całą tę historię w niepamięć, gdyby na ową wieś nie udała się raz pewnego moją matką. I znowu powtórzyła się scena podobna.

— Początkowo bardzo się zawstydziałam — opowiadała mi matka po powrocie. — Zapomniałam, jak to się mówi, języka w garbie. Ale uwet przypomniałam sobie, że ty i o mnie pisałeś i że jest tam takie zdanie, że wcale nie jestem ładna.

Macocha Zenona nie chciała wierzyć.

— Naprawdę tak napisał? — Spytała.

— Naprawdę.

— No, a wy co na to?

— A nie. Przecież nie jestem królową. Prawdę napisał, a o prawdę gniewać się nie można. Ale napisał, że jestem dobra, a to więcej znaczy, niż wszystko inne. A o waszej dobroci też napisane, przeczytajcie tylko.

— Czy on wie, że ja tak się złościłam? — spytała nagle mej matki.

— Kto?

— No, ten pisarz, wasz syn.

— Ej, chyba nie, bo i skądże miałby o tym wiedzieć.

— To nie mówcie mu, złociutka, że się gniewałam. Pozdrowięcie go ode mnie i podziękujcie, że tak to wszystko akuracie i do śmiechu opisał. A jakby miał czas, to niech tu do nas przyjedzie, bo się tu dużo zmieniło i miałby znowu wiele do napisania.

Wpakował kilka tyłek, wymieszał i znowu ją kosztował.

— O, widzisz, teraz to zupełnie co innego. Smakujcie jak herbata.



Rys. Bimali Horską

Włał wszystko do gardła, obtarł ręką usta i uśmiech Babka drżała ze strachu, co się z nim stanie. Ale z dziadkiem nie stało się nic. Nawet zaburzeń żołądkowych nie odczuwał.

— Lepiej ci? — spytała nazajutrz babka.

— Tak, jakby lepiej — zaśmiał się dziadek i powyrzucał puste buteleczki za okno.

Równo w rok później, w dzień wtorkowy, odezwali się dziadek do babki w te słowa:

— Pościel mi, Jewka, łóżko. Połóż się.

— Co ci się stało? — zatrzwożyła się babka, dzień bowiem był szczerzości, a dziadek miał zwyczaj kłaść się do łóżka tylko wieczorami.

— Nie, umrę sobie.

— Ciebie się wciąż żarty głupie trzymają.

— Nie żadne żarty. Nie czas mi już, czy jak?

Babka nie wiedziała co robić. W końcu łóżko postawiła. Dziadek położył się na znak i patrzył w sufit.

— To może księdza poprosić?

— Nie potrzeba mi żadnego księdza.

— Ale babka poszła, przestraszona, na plebanie.

— Taką ty? — tak pewnie myślał sobie dziadek — woli mojej ostatniej nie słuchać? No to zobaczmy, kto będzie pierwszy: czy ty z księdzem, czy ja ze śmiercią.

Bo gdy babka wróciła, dziadek leżał już całkowicie uspokojony. Na twarzy błąkał mi się jeszcze szelmowski uśmiech.

Jan Koprowski

KRYSZYNA PALYS

KIEDY STANĄŁ NA MÓWNICY...

NIKOMU tak nie bili brawa na lubelskiej naradzie chłopów z robotnikami, jak Pawłowi Koltunowi z Wolawca.

— Chłop miał też na karku! Nie dał sobie mieszkać kaszy — chwalałno przemówienie.

— Koltun, Koltuna, Koltunowi — odmieniały dzierlatki z różnych liceów, w przerwie obstępny go kołem. A Koltun rozparł się na krześle, jak profesor, zakurzył machorkowego, wyjął notes i dyktował pannom z kółek miczurinowskich wyniki swoich doświadczeń.

Stylizowali o nim już dawniej. Podobno prowadził „jakieś” doświadczenia, taki sobie samorodny miczurinowiec z Wolawca — Więcej krzyku niż pożytku z tych doświadczeń. Chłopek - rozstroje robi więcej szumu niż cała jego robota warta — myślał nie jeden. Doszło jednak do tego, że zaproszono Koltuna na to spotkanie w teatrze.

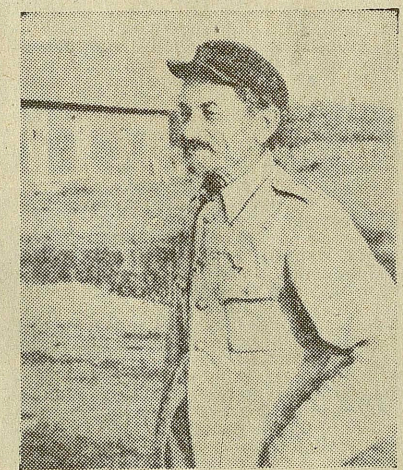
Wyszedł na mównicę chłop już niemłody, chudy jak chart a długi jak tyczka od grochu. W rękę dzwigał bardzo sfatygowaną teczkę, a tak wypchana, że lada chwila mogła pęknąć.

— Po jakie licho taszczy to aż na estradę — dziwni się ludzie — boi się, że mu ukradną! Będzie sto pociech z tego żurawia!.. A Koltun ukłonił się i zaczyna prosto z mostu:

— Prosty chłop jestem z Wolawca w gminie Żmudź powiatu chełmskiego. Chciałbym opowiedzieć wam o moich doświadczeniach, ale muszę z góry zaznaczyć, że chłop nigdy nie zobaczył tak przedko umiarkow. Jak robotnik w fabryce. Musi czekać cierpliwie całymi latami na to, co chce zobaczyć i dlatego moje doświadczenia trwają od 1931 roku. Wtemczas sprowadzili z Ameryki do nas koński ząb Rošina stamtąd rodem, trochę podobna do kukurydzy, a daje do tysiąca i dwustu kwintali zielonej masy. Krowy mają po niej bardzo dobre mleko, bo zawiera 10 procent cukru.

Ja uprawdziałem Ameryki nie widziałem, ale kawał świata zwiędziłem, podczas Rewolucji Październikowej byłem w Rosji. Słuchałem nawet na jednym wiecu przemówienia Lenina i widziałem Stalina, ale nie o rewolucji teraz chciałem mówić. Chciałem potwierdzić to, co powiedział przede mną profesor, że w Związku Radzieckim jest inny klimat i inna gleba niż u nas, tak samo i w Ameryce musi być inna. Gdy zabierałem się do uprawy końskiego zębu, myślałem sobie: Kupię nie kupię, spróbować nie zaszkodzi; Zasadziłem nasienie na zagone. Po czterech latach miałem już nasienie takie, że dojrzewało.

W roku 1949 zjechała do mnie w jesieni wycieczka z Ministerstwa Rolnictwa, oglądała wtedy moje polkę i władza ludowa pomogła mi w prowadzeniu dalszych doświadczeń. Zaproponowali mi nawet na zjazd chłopów-miczurinowców. Głównym na nim różne książki z opisem doświadczeń Miczurina, przeczytałem uszy-



J. K. Maciejewski

(W tym miejscu słuchacze po raz pierwszy uwalnili brawo Koltunowi)

Potem przyszła mi do głowy nowa myśl. Jeśli koński ząb może dojrzeć u nas w krótszym czasie, to dlaczego kartofle nie może? Wysadziłem 19 lipca kartofle na zagone po rzepiku. Cała wieś śmiała się ze mnie, nawet własna żona.

— Oglądał mój stary do szczytu. A ja jej na to: Chcesz ze mną wojnę, będzie między nami walka klasowa! Bo widzicie ja tak nazywam sprzeciżki z nią.

(W tym miejscu sala huknęła śmiechem.) Koltun nabrał jeszcze większej swady i dalej prawi:

— Co powiecie na to, udało się. Ziemiaki urosły. Trochę później niż inni zebraliśmy na tym zagone 90 kwintali z hektara. Cała wieś zlatywała się na moje pole. A ziemiaki, były jak ziemniaki, miały tylko trochę cięszą skórkę i zabarwienie odmienne, ale przechowywały się dobrze. Wystawiam je na lubelski uniwersytet do zbadania.

W tym miejscu Koltun sięgnął po teczkę i wyciągnął ładny, okrągły kartofel.

— To że zbiorów sadzonych w lipcu. W Wolawcu już sadzą ziemniaki po rzepiku Micz. Chudoba, Ożimek i Szofrański. Dwa razy zbieramy z pola w jednym roku! (Znowu brawa!)

W tym samym czasie zrobiłem doświadczeniem z jęczmieniem i kukurydzą na skrócenie okresu dojrzewania. Jęczmienia zebrałem 20 a kukurydzy 50 kwintali w przecięciu na hektar.

Mam jeszcze w toku 2 doświadczenia z burakiem cukrowym, który

Kaj mos wionieczek coch ci go data,
Coch go we Wrocławiu wie kazala...

Lub jak to jest w innej pieśni:

We Wrocławiu pod mostami,
Tańcowała Marionka z wojakami...

Mimo wielowiekowego otoczenia obcego, lud śląski miał wysoko wyrobione poczucie odrębności narodowej.

Śląsk wspólnie przeżywa wypadki historyczne, zgłaszając zawsze swój akces z resztą ziem polskich. Odpiera pod Ligną w roku 1241 nawałę tatarską, wspomaga wyzwoleńczy ruch husycki, przymuje po jego upadku wypędzonych Taborów, łączy się z Janem Sobieskim kiedy wiodł swe hufce pod Wiedem. Wreszcie czynnie występuje w buntach chłopskich, a rzeczniczy sprawy chłopskiej Marek Prawy i Pistulka Eliasz, pozostali w pamięci gotowości.

W Imielnicy sądný dzień, od zalosnych zaloszeń,
Placzą dziolchy i starzyki, baby, chłopy i dzieci.

Nie masz Marka milego, cieszytela naszego,

Przedat go zdradca bez wiary, za judaskie talary.

Drzewa się ogibają, plące nasze zmiatają,

Za tym Markiem co nam padał, ziemia i rola chłopom.

Nie utrzymy zelzenia od pańskiego rzemienia,

Może dzieci co dziś placzą, taką porę obaczą.

A w piosence zanotowanej z górą sto lat temu w okolicy Międzybórz niedaleko Wrocławia, tak lud opisuje doię i wyzysk:

Ach mój miły Boże z wysokiego nieba,

Nie daj jeszcze długo służebnego chleba.

Bo ten służebny chleb krwawie zarobiony,

Jeszcze go nie kraje, już mam wymówiony.

Ukroję go sobie, jak debowy listek,

Jeszcze wejrzą za mną, jeśli wezmę wszystkich.

Już ja idę z hysy, idę za drzwiami,

Wejrzą na ten cień, zaleję się łzami.

Lud śląski (mam tu wciąć na myśli Dolny Śląsk) czuł i myślał zawsze po polsku, a miasta na Śląsku i poza Śląskiem na Ziemi Poznańskiej lub Krakowskiej uważał za równorzędne miasta polskie. Toteż wzmianki w starych pieśniach napotykalmy szczególnie często. Oto fragment pieśni z okolic Międzybórza zanotowanej przez Roberta Fiedlera.

Powiedzcie mi bez Kraków, mam ci ja tam pięć bratów.

Ci bracia mię wykupią, pięć tysięcy wysypią.

Powiedzcie mi bez Ostrów, mam ci ja tam pięć siostrów.

Te siostry mię wykupią, pięć tysięcy wysypią.

DROBISZEWICZ

TRADYCJA GINIE

Hej, bywały wybory — mówi pan Biedronka i leżał sentymentalnie w oczach mu się błaka, — przed kościołem, po sumie, po kolei gadał piasiewicz po endecku do chłopów z przadziada. Zaś karaczka wprost kościoła, na ścieżkę otwartą: dla tego półkwaterek — dla tamtego kwarta, a dzisiaj ta tradycja została na boku... — Panie Biedronka, dziś nikt nie tumani chłopów.

„MĄDRY“ SOLTYS

W gminie Bratoszewice, w gromadzie Oset, jest soltys, mądry iście jak Salomon, krótko po rozum do głowy poszedł, a głowę tę ma — wiadomo. — Państwo odstawić zawsze coś trzeba — hej chłopcy, spieszcie się, duchem! Ja zaś, no wiecie — soltys — nie nie dam. Gromada chwytła głos jego uchem i jest na ostatnim miejscu ze skupem.

Losie, chrońcie nas od soltysów takich, z których się cieszą trutnie i kulaki.

PIOTR PIGWA

Kiepski wąż...

IM przystąpimy do rzeczy zmuszeni jesteśmy zacząć stanowisko w interesującym sporze, który podzielił gromadę Podręczkę na dwie równe części. Wydała się tam ostatnio bardzo nieprzyjemna historia. — Jan Socha nie zapłacił podatku a pieniądze miał, lecz przepuścił. Narazie tyle, będziemy mieli jeszcze okazję napisać w jakich to się stało okolicznościach.

I teraz sprawa taka: jedni powiadają, że wina spada głównie na samego Sochę, który nie posiada uchem. Gdyby bowiem posiadał — podatek dawno by zapłacił. A dlaczego — czytacie uważnie dalej. Drugi natomiast twierdzi, że wina jest tu szatkwonice, po której wyprawili nieszczytnego Jana jego rodzona żona. Przekonacie się dlaczego to nie byłoby kłopotów z podatkiem, gdyby Sochowice mieli własną szatkwonice.

Obie zaś strony zgadzają się co do tego, że olwiny do ognia dołata sama Sochowa, kobieta wyjątkowo okrutna. Ona to popchnęła męża swego Jana do takiej rozpacz, że nie wiedział co czyni. A co uczynił — o tym potem.

Nasze zdanie jest zupełnie inne. Uważamy mianowicie, że obok samego Sochy winni są: stara Pikutkowa, kulać Ciępluch i „gruby” średniak Socha Antoni.

Oczywiście, dajemy sobie w pełni z tego sprawy, że zajmując trzecie stanowisko, będziemy musieli przedstawić naprawdę mocne argumenty. Ledwo bowiem wypowiedzieliśmy nasze zdanie już spotkaliśmy się z zarzutem — „wy nie, ino politykę uszadźcie wężycie”.

Tak więc posłuchajcie całej sprawy od początku. Sochowa naznosiła do chaty kapusty i zwróciła się do Jana z następującą prośbą:

— Lec mięgiem po szatkwonice do Cięplucha, bo się przez tę kapustę obrócić nie można. Czego się krecisz jak nie powiem ci i w czym (Sochowa powiedziała jak co i w czym, lecz nie podajemy tych szczegółów, by nie być posądzonym o naturalizm). Jak cię rąbnę tasakiem to z trepów wyskoczysz!

Opisujemy sytuację z mikroscopijną dokładnością. Socha sięgnął do szafy, wyjął z niej stary „Kalendarz Rolniczy”, gdzie stronnicza za stronniczą leżały równo poprzekładane setki i pięćdziesiątki. Pod bacznym okiem odliczył około 600 złotych i oświadczył spokojnie:

— Przy okazji wstąpię do Gminnej Rady, to podatek się wyrówna. Widzimy więc, że słowa małżonki nie podzielały na niego depresję. — Bo — jak ludzie mówią — nawet do truciń można się przyzwyczaić, jeśli od młodu człowiek ją polyka. Argumenty przeciw Sochowej upadły. Nie także, jak dotąd nie wskazuje, że Jan miał jakieś złe zamiary.

Do Cięplucha nie można iść inaczej jak kolo domu starej Pikutkowej. Byłby go Jan zapewne ominął, gdyby nie to, że akurat tu właśnie spotkał Cięplucha. Miał go nie prosić o szatkwonice? A oto dosłowne ich rozmowa.

— Ciępluch, ogromnie rad, że was widzę, bo mnie stara akurat po szatkwonice posłała. Użyjecie, co? — Jakżeby nie użyć rodnemu kumotrowi? A bierzcie i szatkwonice, co tylko się wam podoba, choćby nawet i waszą starą.

— Kiedy moja taka kościasta, że żelazo szepis.

Po co ta rozmowa? — zapytacie. A potrzebna, wskazuje bowiem na to, że Socha wcale się starej nie bał, a przy innych to nawet pyśkował na nią ile wlezie.

Teraz zapoznacie się z historią wężu. Zaczęł Ciępluch. — A wąż Socha macie dobry? — Dobry, jak stara moja nadchodzi poczuje za siodłem rzeki. — Stańcie prosto nosem na lipe Pikutkowej, czujecie co? — Dalibóg nie.

No to chodźcie do Pikutkowej, muszę was przekonać, że słaby u was wąż. Szatkwonice na plecach nie noszę, podatek nie ucieknę. I poszli. Akurat babcia Pikutkowa wysłała sakramentalne zdanie:

— Mego męża nieboszczyka wszyscy znali. W tych pokojach od frontu, gdzie teraz przedszkole założyli i zmuszają dzieci do jedzenia,

mieli sklep, siedzie tam byli i baleron wędzony...

No cóż, okazało się, że Ciępluch ma rację. Aż były zapachy tytoniu, kiszonych ogórków, kiełbasy a nade wszystko obficie rozlewanej mopolki. Podskoczył do przybyłych jeden z „grubych” średniaków Socha Antoni i zaśpiewał:

Wy Socha i ja Socha
A nas Sochow Pan Bóg kocha...

I stało się...

Powiadają, że Socha winien, bo nie miał wężu. No a gdyby miał? Czy zmieniło by to zasadniczo sprawę? Na pewno nie. Przecież poszedł po szatkwonice i dlatego uzależniony był od Cięplucha. A szatkwonice, jak się niedługo przekonacie, przyniosła. A więc nie wąż tu winien i nie szatkwonice. A nawet i Socha nie tak wiele. Jakby bowiem nie było, zjawia się w GRN po kilku godzinach.

Trafili na moment zebrania. Obradowali zastępcą przewodniczącego Karolczak, sekretarz Miętuś i delegat z PRN Rawa Mazowiecka, przybyli tu — jak wskazywała delegacja służbowa — po linii podatku. Siedział także i sam pan Sulimierski z Wydziału Oświaty i Kultury, ten co to każdego tygodnia jeździ na film do Łodzi, by chociaż tym sposobem podnieść kulturę w Podręczce. Do innych sposobów nie doszedł jeszcze.

Stanęli akurat sprawdzając załagłości przy Sosze Janie, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Nasz bohater wyglądał dosyć osobliwie. Oczy nieco przymrużone, gorzki uśmieszek blaskiem, z baranicy ściekała brudna woda. Przewieszona przez plecy szatkwonice czyniła z niego jakiegoś przedwiecznego myśliwego. Pierwszy odezwał się pan Sulimierski (z tego właśnie powodu wprowadziliśmy go do akcji).

— Snieć czy co, toć to dzielnicy Wilhelm Tell z kuszą! — Jaki Tell, co ty tu za swoją kulturą, Janek Socha schyłny na amen.

Z kolei przemówił sam główny bohater. — Dawajta kwit za podatki, szatkwonice już jest, ینo szybko, bo stara się pewno doczekać nie może.

— Jaki kwit? Nie zapłaciłeś ani grosza mimo wezwania!

Jak to nie zapłaciłem, skoro pieniądze z domu wziąłem a szatkwonice przecież niosę.

Zastanówmy się poważnie. Przede wszystkim zwraca naszą uwagę fakt, że Socha cały czas chciał zapłacić, a co więcej — miał nawet przekonanie, że zapłacił. Rzadki to objaw rzetelności. I jeszcze jedno. Musiamo chłopca wyprowadzić z urzędu. Czynił to osobiście Karolczak. Po drodze stała się rzecz nieoczekiwana, która rzuciła nowe światło na całą sprawę. Socha stanął przed domem Pikutkowej, nieczym koń przed stajnią i ani rusz nie chciał dalej iść. Powtarzał tylko:

Tum pił i tu tańcował

Tu też będę ja, nowotw!

I wdarł się do wnętrza. Akurat sumitowała się babcia Pikutkowa przed milojantem. Mówiła właśnie, że u niej wódki ani na lekarstwo, kiedy zjawił się nasz bohater, demaskując ostatecznie spekulanta.

Jest to czyn tak dalece pozytywny, że w jego świetle zgoda znaleźć wygląda zarówno sprawa wężu jak i szatkwonicy. Pełnią one, wbrew temu co mówi wielu, funkcję dodatkową, są elementami zwycięstwa nad Pikutkową. Popatrzymy jeszcze z punktu widzenia prawnego na osobę Sochy. Czy ktoś, kto stanowi żywy dowód winy, może sam być winny? Na pewno nie. Dlatego częściowo nieszczytna niewinność, skazując go na terminowe spłacenie podatku.

Nasze rozumowanie, jak sami zauważyliście, polegało na eliminowaniu, poszczególnych elementów sprawy. Któż zatem pozostał jeszcze na placu? Ano właśnie Ciępluch i Socha Antoni.

Jesteśmy tak dalece pewni swego rozumowania, tak jasno widzimy urogi demoralizującą robotę kulaka i jego poplecznika, że nie wahać się raz jeszcze stwierdzić, że sprawa miała podłoże polityczne.

Wierzmy ponadto, że gromada porzuci szatkwonice i wąż a idąc podobną do naszej drogą uylimimujemy jeszcze z życia gromady obu szatkwoników, bo wąż trzeba mieć, a wąż polityczny...

Wierzymy ponadto, że gromada porzuci szatkwonice i wąż a idąc podobną do naszej drogą uylimimujemy jeszcze z życia gromady obu szatkwoników, bo wąż trzeba mieć, a wąż polityczny...

I poszli. Akurat babcia Pikutkowa wysłała sakramentalne zdanie:

— Mego męża nieboszczyka wszyscy znali. W tych pokojach od frontu, gdzie teraz przedszkole założyli i zmuszają dzieci do jedzenia,

DOGDAN WOJDOVSKI

Spotkanie z Dickensem

ZŁY ojczym wypędza Dawida Copperfielda z domu w czarnym surducie. Dziesięcioletni Dawid zarabia na życie myciem butelek w Londynie. Zatrudnia go wielki dom towarowy do handlu z Indiami — Murdstone i Grinby. Tutaj za sześć szylingów tygodniowo chłopiec z „middle class” ubrany w czarny surduc i sztywne spodnie poznaje niedolę angielskiego proletariatu.

Oto maksyma, którą daje Dawidowi pan Micawber: „Roczny dochód dwadzieścia funtów, roczne wydatki dwadzieścia, czy dziewnięcie i pół, rezultat: szczęście. Roczny dochód dwadzieścia funtów, a roczne wydatki dwadzieścia i pół, rezultat: nędza”. Jak widzimy aspiracje drobniomieszczanina angielskiego z epoki wiktoriańskiej nie są wygórowane. Praca dzień jest rzeczą naturalną i naturalny podział na biednych i bogatych; źródłem nędzy są zaburzenia w budżecie, a nieszczęściem młodych chłopców jest zły ojczym. Ale mimo złudzeń i wbrew ograniczeniom — Dickens stworzył w „Dawidzie Copperfieldzie” obraz spowiewanego przez kapitalizm dziecka.

„Dawid Copperfield, albo o zatrudnieniu nieletnich w kapitalizmie” — tak mógłby brzmieć tytuł tej wielkiej, wstrząsającej powieści, która w swoim rodzaju nie ma równej w literaturze.

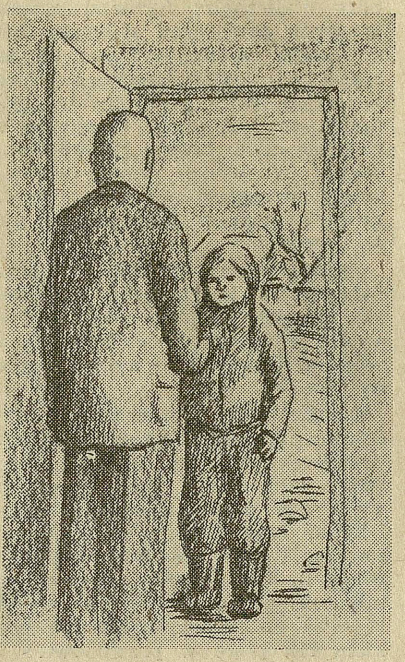
Przywileje młodego pokolenia w społeczeństwie, dostęp do nauki, możliwość awansu i pole dla aspiracji zawsze były problemem humanizmu ustroju. Humanizmem naszych czasów jest socjalizm.

Było to pewnego listopadowego wieczoru w małym powiatowym miasteczku Slawno. Rozmowa toczyła się w wydziale personalnym powiatowego komitetu partii. Muszę przyznać, że kierownik personalny zrobił na mnie wrażenie człowieka o oschłym charakterze i kategorycznym sądzie, tym bardziej zaskoczyło „mnie wydarzenie, o którym pragnę napisać. Rozmowa dotyczyła korespondentów. Przy okazji wysłuchałem wielu gorzkich uwag pod adresem niektórych redaktorów — i ich metod pracy z korespondentami.

— Wy tylko zważacie na to, jak kto pisze... — Tutaj zrobił pauzę, jak gdyby zastanawiał się dopiero nad

tem, co chce powiedzieć — ...a my zważamy na to, co kto robi. Musimy więcej dbać o to, aby wasi korespondenci byli terenowymi działaczami.

— A Franek Śnieg? — Jeden Śnieg nie robi zimy. A faktem jest, że korespondenci często stają się bezpłodnymi krytykami. Zatrzy taki przez sparę do sąsiada i tuł pismo do redakcji, leży mu coś na watrobie i żółd psuje, to zamiast przyjąć, powie: „dzień, naprawić na miejscu — znowu”.



Rys. Bimala Horsa

wy wyrecza się redaktorami. Wy znowu nas monitorujecie żeby sprawdzić, a nas nagle krew zalewa, że sprawy które sami możemy w swoim zakresie rozwiązać i które rozwiązujemy, wderujmy w te i w te w kopertach do Warszawy i z powrotem...

W tym momencie przerwał mi telefon; wyszedł i dość długo nie wracał, a potem już nie było czasu na nawiazanie rozmowy.

Personalny uwieszony przy telefonie zaczął po kolei łączyć się z przysięgami powiatowej rady narodowej i wydziałem szkolnictwa. Nieumiejętnie słuchając chwytałem

Wielkie mieliśmy zmartwienie, proste gazetki, u nas w Łukowie pow. Białogaj. Odsunął się nasz czołowy aktywista Józef Wenek. Kto by się spodziewał? Na szczęście Wenek nie odsunął się! A szkoda! Nie po to zrobiliśmy go przecież prezesem Zarządu Gminnego ZSCh, członkiem Gminnej Rady Spółdzielczej, członkiem komisji rewizyjnej PZCh, wydziałową szatki politycznej, członkiem Gminnej Komisji Oświaty, przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego, członkiem Zarządu Powiatowego ZSCh, delegatem na gminny zjazd delegatów GS, na tak zjazd powiatowy, wojewódzki i na kongres „Samopomocy”, nie licząc innych pomniejszych członkostw w siedmiu organizacjach społecznych — żeby się ośmieszali i pamieli dobre imię naszej gminy, po prostu czyni, za które musimy wszystkim dziękować.

Najpierw to było tak. Wszyscy wywołali, zwołali i zwołali, tylko Wenek u siebie nie. Parę biennickich morg ma i tak się zaniadał! Skrytykował nas go więc w różnych piosnach organizacyjnych: „Pominięś świećci przykładem, a ty co? Złozia nawet na skup nie oddałeś”.

Najazur od rana dzwonił i błagał o dziesiątą gminie. Dzwonił z GS-u i PZGS-u, z Zarządu Powiatowego i z Gminnej Rady Spółdzielczej i z Komitetu Gminnego goniec i ze szkoły powiatowej.

Gdzie jest Wenek? Nie ma go ani w GS ani w PZGS, ani w Zarządzie Gminnym ZSCh, ani w Komitecie, ani w Gminnej Radzie, ani w Powiecie, ani w siedmiu pomniejszych organizacjach społecznych, których jest członkiem.

W końcu nauczyciel nieśmiało zaryzykował pytanie. A może Wenek jest u siebie? Nie bardzo chcieliśmy wierzyć — ale dla przyzwyczajenia zaryzykowaliśmy. Okazało się, że Wenek był rzeczywiście u siebie. Coś podobnego! Wyobraźcie sobie, młoci!

Od razu w różnych piosnach organizacyjnych krzyk się podniósł. Rzucił się na niego prezes GS-u, kierownik szkoły, przewodniczący komisji oświaty.

Jeden litr mleka

Czy człowiek nazwiskiem Zagad mógłby nie narzekać? Nad tym zagadnieniem zastanawiali się długo i często ojcowie gminy Małachowice, pow. Sieradz (woj. łódzkie), gdy przyszło im rozmyślać nad sprawami odstaw wsi Tyczyn. Był pewni przynajmniej jednego. Że Placzek nie nie odstawia a co więcej napisze do nich podanie skarżące się na cały świat, który stoi na przeszkodzie jego osobistego szczęścia. Ponieważ ongiś przed laty Placzek chodził do szkoły, gdzie nauczył się czytać i pisać, więc nie zaniedbywał okazji, by wszystkim, a szczególnie Gminnej Radzie Narodowej przypomnieć o swych umiejętnościach. Pisał, że jest w ogólności zmarownym, a ziemią którą mu susza spaliła na popiół nieczyni uległ wadze przez pastuszków w gminie. Kreślił słowa odwołania Placzek do wielościłości wspomnień rok ubiegły, kiedy pisał karę za niedostawianie dostaw. Twarde są dzisiaj serca ludzkie! Przed wojną na widok Placzka rozjaśniały się twarze a teraz dla człowieka żadnych względów nie mają. Czy on nie odstawia mleka? I to w

pojedyncze zdania: chodziło o miejsce w bursie dla kogoś, o skierowanie do szkoły i stypendium. Dopiero gdy do pokoju weszła Maria Cicha, poznałem całą przyczynę zażerowania personalnego kierownika.

W drzwiach stała niska dziewczyna w gumowych butach i walcowanych spodniach. Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że ma 14 lat i ukończyła dopiero 5 klas, że chce się uczyć a w domu się zaharowuje, że macocha ją biła wściekle — i przyszła wprost do komitetu powiatowego. „Poślijcie mnie do szkoły, chcę się uczyć” — oto z czym przyszła do powiatu Maria Cicha z Nowego Pienkowna. Nowy Pienków leży 18 km od Slawna. Ale droga, która wiodła czterdziestoletnią dziewczynę od macoszej chaty, gdzie pełniła rolę pochopacza aż do powiatowego komitetu partii, gdzie ufała, że otworzą się przed nią drzwi do nauki i gdzie otwarto przed nią perspektywę ludzkiego życia — jest o wiele dłuższa.

Jesteśmy u początku drogi awansu upartej dziewczyny wiejskiej, która nie mogła znieść ogólnopiętnej pracy i porzuciła rodzinny dom.

Stary Dickens, który ze szczególnym upodobaniem kreślił w swych powieściach koleje dziecięcych losów, z pewnością dla swych, młodzieńskich bohaterów okazywał w ten sposób, że wyprzedzał biednych sierotom znaczący a nade wszystko z a m o z n y c h k r e w n y c h. Małenka Dorit i David Copperfield byli zdani na łaskę przypadku — w ustroju ówczesnym przysięgli się przeciwko nim zle macochy i policjanci, fabrykanci i żli ojczymowie. Przeciwno nim były prawa i instytucje.

Za kilka lat Maria Cicha przeczyta sobie Dickensa. Myślę, że go dobrze zrozumie, lepiej niż ktokolwiek inny, chociaż znajduje niewiele porównań między swoim życiem i losem Dorit. I na pewno nie będzie rewanżem wspominać kierownika personalnego tak, jak wspominał swych bogatych krewnych bohaterowie Dickens'a. Będzie za to pamiętał o partii.

Bogdan Wojdowski

Franciszek Pudowski

Lipno

Gazetka gminna

Nagle zastąpienie działacza

Wielkie mieliśmy zmartwienie, proste gazetki, u nas w Łukowie pow. Białogaj. Odsunął się nasz czołowy aktywista Józef Wenek. Kto by się spodziewał? Na szczęście Wenek nie odsunął się! A szkoda! Nie po to zrobiliśmy go przecież prezesem Zarządu Gminnego ZSCh, członkiem Gminnej Rady Spółdzielczej, członkiem komisji rewizyjnej PZCh, wydziałową szatki politycznej, członkiem Gminnej Komisji Oświaty, przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego, członkiem Zarządu Powiatowego ZSCh, delegatem na gminny zjazd delegatów GS, na tak zjazd powiatowy, wojewódzki i na kongres „Samopomocy”, nie licząc innych pomniejszych członkostw w siedmiu organizacjach społecznych — żeby się ośmieszali i pamieli dobre imię naszej gminy, po prostu czyni, za które musimy wszystkim dziękować.

Najpierw to było tak. Wszyscy wywołali, zwołali i zwołali, tylko Wenek u siebie nie. Parę biennickich morg ma i tak się zaniadał! Skrytykował nas go więc w różnych piosnach organizacyjnych: „Pominięś świećci przykładem, a ty co? Złozia nawet na skup nie oddałeś”.

Najazur od rana dzwonił i błagał o dziesiątą gminie. Dzwonił z GS-u i PZGS-u, z Zarządu Powiatowego i z Gminnej Rady Spółdzielczej i z Komitetu Gminnego goniec i ze szkoły powiatowej.

Gdzie jest Wenek? Nie ma go ani w GS ani w PZGS, ani w Zarządzie Gminnym ZSCh, ani w Komitecie, ani w Gminnej Radzie, ani w Powiecie, ani w siedmiu pomniejszych organizacjach społecznych, których jest członkiem.

W końcu nauczyciel nieśmiało zaryzykował pytanie. A może Wenek jest u siebie? Nie bardzo chcieliśmy wierzyć — ale dla przyzwyczajenia zaryzykowaliśmy. Okazało się, że Wenek był rzeczywiście u siebie. Coś podobnego! Wyobraźcie sobie, młoci!

Od razu w różnych piosnach organizacyjnych krzyk się podniósł. Rzucił się na niego prezes GS-u, kierownik szkoły, przewodniczący komisji oświaty.

Straszy sen kierownika

Wczoraj przybiegł do nas do gminy kierownik PGR-u w Rudolowicach (pow. Jarosław) z gardłem zawiązanym i kichając oświadczył: „Zróbcie zebranie, poruszcie komisję, jaką potrzeba... ten pałac, wiecie... postanowiliśmy wyremontować i wasza urzędowa pomoc jest mi potrzebna”.

Zadziwił się bardzo, bo dotąd, ile razyśmy o tym mu przypominali, zawsze wymawiał się i odlewał. Więc skąd mu się nagle odmiennie?

„Ale zczekajcie, opowiem po kolei. Jest u nas w Rudolowicach zabytkowy pałac, budowany sto pięćdziesiąt lat temu przez naszych przodków chłopów pańszczyźnianych. Dawnie mieszkał tam dziedzic. Teraz dziedzic nie ma, jest PGR. A pałac stoi pusty. Dlaczego? Jak powrócił z wojna, też pytałem i nie mogłem się dowiedzieć. Ludzie na wsi mówili, że to dlatego, bo w pałacu duch dziedziczki straszny, kierownik zaś PGR-u Komar mówił, że owszem trzeba go wyremontować, ale teraz są pilniejsze sprawy a pałac nie zajac i nie ucieknę, a właściwie to nie jest on nam do zszczęścia potrzebny”.

Przyznam się, że z tych dwu tłumaczeń, mądrzejsze jeszcze wydało mi się to tłumaczenie o duchu. Bo jak tu mówić, że pałac jest niepotrzebny, kiedy nasza szkoła ma tylko cztery izby a przydałoby się trzy na tyle, kiedy nie mamy ani domu kultury, ani nawet porządnej świetlicy. Tak samo przydałoby się PGR-owi, choćby na magazyn, budynek dawnej gorzelni, w którym brak tylko kawałka dachu i staw, który mógłby dawać korzyści po oczyszczeniu i ogrodzeniu a teraz tylko przynosi szkody, bo utopił się w nim niedawno pięcioletni chłopczyk Stanisław Holupa.

„Ale tłumacz to Komarowi. Jak już nie ma argumentu, to mów: „co wam tak zał pałac? Przecież to pałac państwa, to niech z państwa zgine, żeby ślad po nich nie pozostał”.

Dlatego dziwiłmi się, co mu się nagle odmiennie.

— Nie wiecie? — przyrzużył okło Hajduk, który z Komarem czasami popija.

— To ja wam powiem. Komar sen miał.

Przyznał się, że mu się duch pokazał.

— W butelce? — próbowałem zasztartować, ale mnie ucieszyli.

— Czyż duch?

— Nieboszko! Szczepańskiej, babki je-go babki.

— Co wy powiecie?!

Tak też stanął przed nim ten duch i dalej że od najgorszych go wyzywał. „O co ci duchu chodzi?” — pyta Komar. „Jaktto!” — klnie duch — to ja młodą moją zmarowałam, w rękach kamienie na ten pałac nosiłam, patrz jeszcze mam ślady od bata ekonomia, a ty mówisz, że ten pałac jest pański i pozwalam, żeby się moja praca krawa zmarowała? No to ja cię nauczę”!

I jak go podobnie nie wyróżni w kark, a w plecy, wszystkie kości mu popobiał! Rano Komar się zbudził, gardło go boli, wszystkie kości łama.

— Grypa — powiadacie — ano może i grypa. Ale swoją drogą, nieboszeczka miała rację.

Więc teraz, gazetko, może się nareszcie rusza u nas i wyremontują ten pałac. Nie wiecie przecież potrzeba. Szkoda tylko, że aż dłużej musiał interweniować. A Gmina Rada nie łaska?

Mikołaj Babel